

203. 15

LESZEK FLORCZYK

DLACZEGO POWRÓCIŁEM

WYDAWNICTWO „KRAJ”

WARSZAWA

1956

Napisanie tej broszury nie jest bynajmniej dyktowane chęcią odwetu czy zemsty osobistej na ludziach, którzy w swej emigracyjnej działalności zdradzili klasę robotniczą, zdradzili Polskę, przeszli na usługi obcych wywiadów powodowani li tylko własnymi ambicjami i chęcią zysku. Zaznaczam to dlatego, że znając aż nadto dobrze metody ich postępowania, mogę przypuszczać, iż między innymi w ten właśnie sposób, będą oni usiłowali wytłumaczyć ukazanie się broszury wobec tych, którzy jeszcze nie całkowicie przejrżeli ich nieuczciwe postępowanie i nie poznali jeszcze dokładnie właściwego oblicza tego pokroju ludzi na emigracji.

Dla odwetu czy dla zemsty osobistej nie warto byłoby w ogóle sięgać po pióro. Jeżeli dzisiaj kreślę te słowa, stanowiące akt oskarżenia przeciw przywódcom emigracyjnej PPS, to czynię to jedynie dlatego, iż pragnę dopomóc, w miarę swych możliwości, uczciwym pepesowcom — robotnikom i inteligentom — w przejrzeniu prawdziwego oblicza „towarzyszy” tego pokroju, co Franciszek Białas czy Zygmunt Zaremba — a w następstwie tego w odnalezieniu właściwej drogi postępowania.

Chcąc dać pełny obraz omawianego problemu zmuszony jestem — wbrew swemu zwyczajowi — poruszyć w dwóch fragmentach broszury sprawy

związane z moim życiem prywatnym, a ponieważ wiem jak łatwo przychodzi ludziom, których na kartkach tych demaskuję, posługiwanie się oszczerstwami — na wstępie zaznaczyć pragnę, że zarówno ja, jak i moja żona wzrosliśmy w tradycjach PPS-owskich i od wczesnej młodości związani byliśmy organizacyjnie z Polską Partią Socjalistyczną. Nikt nas nie może i nie ma prawa posądzić o brak przywiązania czy sentymentu do PPS. Swym postępowaniem i swym życiem udowodniliśmy, że dobro tej partii było nam zawsze bliskie i dla jej rozwoju gotowi byliśmy do największych ofiar.

MOJA UCIECZKA Z KRAJU

Brałem udział w konspiracyjnej działalności PPS od chwili wejścia partii w podziemie, po klęsce wrześniowej 1939 r. Będąc członkiem krakowskiej organizacji partyjnej, początkowo organizowałem komitety dzielnicowe i fabryczne PPS oraz Milicję Robotniczą, Gwardię Ludową PPS i konspiracyjne rady zakładowe we wschodnich dzielnicach Krakowa. Z czasem przejąłem całość politycznego kierownictwa na Kraków-miasto oraz objąłem kierownictwo szkolenia politycznego młodzieży partyjnej, organizowanej w pięcioosobowe grupy zwane w konspiracyjnym języku „piątkami”. Byłem współpracownikiem organu prasowego Okręgowego Komitetu Robotniczego PPS „Wolność”, a od marca 1943 r. jego naczelnym redaktorem i kierownikiem wydawnictw okręgowych.

W roku 1943 z ramienia OKR PPS przejąłem również sekretariat techniczny i redakcyjny komórki partyjnej prowadzącej akcję pomocy więźniom hitlerowskich obozów koncentracyjnych

w Oświęcimiu, w Płaszowie i w Szepienicach. Komórka ta dostarczała też wiadomości i informacje z tych obozów międzypartyjnemu komitetowi pomocy więźniom m. in. do wykorzystania ich przez radiostacje wolnych krajów.

Znajdując się pod wpływem Zygmunta Zaremby i innych przywódców decydujących o polityce PPS, po wyzwoleniu Polski w 1945 r., z działalnością konspiracyjną nie zerwałem, przeciwnie, kontynuowałem ją nadal. Na mocy uchwały OKR PPS objąłem wówczas redakcję nowego pisma okręgowego „Równość”. Jednocześnie zostałem sekretarzem redakcji pisma „Akcja Socjalistyczna” („AS”), wydawanego przez Centralny Komitet Wykonawczy PPS — z siedzibą, od chwili upadku powstania warszawskiego, w Krakowie.

W sierpniu 1945 r., będąc poszukiwany przez władze bezpieczeństwa w Krakowie, przenieśliem się do Warszawy, gdzie kontynuowałem nielegalną działalność w sekretariacie zakonspirowanego centralnego ośrodka PPS.

Należałem do tej grupy PPS-owców, która w grudniu 1945 r. nie usłuchała apelu Zygmunta Żuławskiego, wzywającego wszystkich socjalistów, aby wstępowali do legalnej Polskiej Partii Socjalistycznej.

Pozostałem nadal w podziemiu.

W wyniku kontynuowania nielegalnej działalności byłem zmuszony uchodzić z Polski w 1947 r., posługując się fałszywymi dokumentami.

Usiłowano mnie wtedy przekonać, że rzeczą zupełnie naturalną będzie moje rozstanie się z żoną i pozostawienie jej w kraju na stopie nielegalnej bez żadnej perspektywy wydostania się z sytuacji, w której znalazła się w wyniku kontynuowania podziemnej działalności. Sprzeciwiłem się temu sta-

nowczo. Jednak po szeregu miesiącach, mój negatywny stosunek do tego rodzaju pomysłów został przełamany prośbami żony, która, będąc poszukiwana przez władze bezpieczeństwa, zdecydowała się w tak ciężkich warunkach na rozłąkę ze mną, by tylko zapewnić mi wolność. Wierzyła, że w ten sposób daje mi możliwość kontynuowania na emigracji działalności zgodnej z programem PPS.

MARSZ KU „LEGALIZMOWI“

Późnym wieczorem 22 listopada 1947 r. znalazłem się w Paryżu. Od kraju i od najbliższych oddzieliły mnie granice. Lecz przybyłem na „wolny“ Zachód, gdzie działała Polska Partia Socjalistyczna. Mając uformowane poglądy polityczne, byłem przekonany o słuszności drogi, którą szedłem. Wierzyłem, że znajdę możliwość służenia dobrej sprawie, możliwość kontynuowania działalności razem z towarzyszami wiernymi tej samej idei.

Zygmunt Zaremba, z którym współpracowałem w Polsce po powstaniu warszawskim i w pierwszym okresie powojennym, wprowadził mnie do emigracyjnej organizacji PPS. Skontaktował mnie również z Franciszkiem Białasem, którego dotychczas znałem tylko z jednego krótkiego spotkania w Krakowie, w 1944 r.

Wszedłem w skład Sekcji PPS w Paryżu, która jest lokalną organizacją PPS na terenie Francji, zrzeszającą zamieszkałych w Paryżu i w okręgu paryskim członków partii. Zostałem członkiem komitetu redakcyjnego miesięcznika „Światło“, organu Delegacji Zagranicznej PPS. W tym właśnie czasie organizacja PPS we Francji zaczęła wydawać swe własne, wychodzące raz w miesiącu, pis-

mo „Robotnik w Walce“, do którego redakcji również zostałem wybrany.

Był to okres po tak zwanym w języku emigracyjnym — „pałacowym zamachu stanu“, w wyniku którego emigracyjna PPS znalazła się w opozycji wobec Augusta Zaleskiego i Władysława Andersa, popieranym przez różnego rodzaju wojskowe i cywilne grupy sanacyjne oraz przez endecję. Na emigracyjnym „ryнку“ politycznym zjawiał się właśnie Stanisław Mikołajczyk.

Do aliansu z Mikołajczykiem dążyli wówczas Zaremba i Ciołkosz. Zdawali sobie sprawę, jak niepopularna była wśród szeregów partyjnych koalicja emigracyjnego kierownictwa PPS z elementami sanacyjnymi i z endecją, której wyrazem zewnętrznym był skład rządu Tomasza Arciszewskiego w latach 1944—1947. Wiedzieli, że dalsze kontynuowanie polityki, wynikłej ze współpracy ze skrajnie prawicowymi elementami emigracyjnymi, doprowadzić musi z jednej strony do zupełnego zatracenia jakiegokolwiek spójni pomiędzy kierownictwem partii a jej członkami, z drugiej strony skazuje nieuchronnie to kierownictwo na podporządkowanie się dyrektywom sanacyjno-endeckiej mafii.

Po drugie, był to okres kiedy Mikołajczyk, po swej ucieczce z Polski, zdawał się dystansować wszystkich emigracyjnych konkurentów w „popularności“ u zaatlantyckich protektorów. Zaremba, który przygotowywał się właśnie do swej kilkumiesięcznej pielgrzymki za Ocean, liczył niewątpliwie na większe możliwości w swych zabiegach o łaski amerykańskie, jeżeli zaprezentuje się tam jako sprzymierzeniec i protegowany przywódcy emigracyjnego PSL. W świetle tego, co nastąpiło później, można być w każdym razie pewnym, że

nie chodziło wówczas Zarembie ani o „sojusz robotniczo-chłopski“ na emigracji, ani o „budowanie zapory przeciwko wszechwładzy generalskiej klikki“. Chodziło mu po prostu o ułatwienie sobie drogi do jak najlepszego wykorzystania możliwości zarobkowych w amerykańskich instytucjach w rodzaju „Komitetu Wolnej Europy“, stworzonych dla prowadzenia dywersji w krajach demokracji ludowej. Zaremba uznał więc, że bardziej celowe będzie złagodzenie swej „czerwieni“ przez przysłonięcie jej zielonym sztandarem emigracyjnego przywódcy PSL.

Lecz aliansowi z Mikołajczykiem przeciwstawiali się Arciszewski i Kwapiński, związani już wówczas mocno z sanacją. Arciszewski, mający od dawna „sanacyjne słabostki“, jak to określa się na emigracji, a nie chcąc po prostu powiedzieć, że jest on narzędziem sanacji — nie utracił nigdy swego sentymentu do sanatorów, pomimo że w czerwcu 1947 r. umierający emigracyjny „prezydent“ Władysław Raczkiewicz anulował nominację Arciszewskiego na swego następcę, „zapisując w spadku“ ten tytuł Zaleskiemu. To przykre doświadczenie nie przeszkodziło bynajmniej „wydziedziczonemu“ Arciszewskiemu pozostać nadal wiernym sanacji i stać się gorliwym krzewicielem niedorzecznych sanacyjno-endeckich koncepcji „legalizmu“ i „państwa na wychodźstwie“. Pomagał mu w tym gorliwie Jan Kwapiński, który w emigracyjnym „rządzie“ Arciszewskiego w latach 1944-1947 pełnił funkcję ministra skarbu. Mimo że Komitet Zagraniczny PPS, którego wówczas Kwapiński był przewodniczącym, uznał objęcie „prezydentury“ przez Zaleskiego za „zamach stanu“, a mianowany przez niego „rząd“ gen. Tadeusza Bora-Komorow-

skiego, za uzurpatorski — były przewodniczący Centralnej Komisji Związków Zawodowych w Polsce Kwapiński, usłużnie oddał 80% funduszków „rządowych“ ośrodkowi sanacyjnemu, a 20% zatrzymał... dla siebie. W ten sposób wypełnił obowiązki wobec „nielegalnych zamachowców“, z drugiej strony zaś odliczył za swą usługę dywidendę. To częściowo tłumaczy gorliwość „króla fornali“ — jak pozwolił się nazwać ów „robotniczy“ przywódca w przedmowie do swych wydanych na emigracji „Pamiętników“ — w usiłowaniu dogadania się za wszelką cenę z sanacją.

Określeniem i wytyczeniem linii politycznej PPS na emigracji miał zająć się I Zjazd PPS na obczyźnie, w maju 1948 r. w Pont-à-Lesse, w Belgii. W zjeździe tym wzięli udział delegaci poszczególnych lokalnych organizacji partyjnych, wybrani na członkowskich zebraniach wyborczych oraz przebywający na emigracji, a wybrani na Kongresie w Radomiu w lutym 1937 r. członkowie Rady Naczelnej PPS. Duża część delegatów przybyłych na Zjazd zajęła zdecydowanie antysanacyjne stanowisko, domagając się zerwania z niecelowymi i bezowocnymi targami o „stolec prezydencki“ i tym podobne emigracyjne fikcje. I tutaj Arciszewski i Kwapiński dali dowód, w jaki to sposób pojmują oni demokrację i czym jest dla nich partia. Gdy opinia Zjazdu przechylała się na stronę koncepcji „antylegalistycznej“, a zatem za nie wikłaniem partii w sojusze sanacyjno-endeckie, ci dwaj przywódcy, pragnący uchodzić za „szandary“ polskiego socjalizmu, zaszantażowali po prostu Zjazd rozłamem. Trzeba przyznać, że obaj „weterani“ PPS byli na tyle przewidujący, iż przywieźli do Pont-à-Lesse gotowy tekst deklaracji rozłamowej, zredagowany przez niejakiego p. Wła-

dysława Zachariasiewicza, który „walkę o socjalizm“ rozpoczął w chwili, gdy objął posadę sekretarza Arciszewskiego w prezydium rady ministrów w Londynie (obecnie pan ten kontynuuje „zbawienie ludu polskiego“ w USA wespół z ks. Buran-tem).

Mówiąc po prostu, Arciszewski i Kwapiński powiedzieli delegatom na Zjazd: PPS to my. Wasza opinia, a zatem i opinia tych, którzy was na delegatów wybrali, nie ma żadnego znaczenia.

„Sztandarowi“ przywódcy dopięli w ten sposób swych celów. Większość delegatów, zaszantażowana groźbą rozłamu w partii, głosowała za „legalistyczną“ uchwałą. Pretekst do „narodowej jedności“ z sanatorami i endekami został stworzony za pomocą szantażu zaprodukowanego przez nauczycieli „demokracji“.

Ale zanim uznano ze strony przywódców partyjnych, że sytuacja dojrzała do tego, by już oficjalnie zaprezentować się w towarzystwie przedwrześniowych władców Polski, trzeba było wykonać szereg taktycznych manewrów dla zamydlenia oczu uczciwym socjalistom, szeregowym członkom partii, którzy pamiętają przecież, co to była sanacja i jakie to „dobrodziejstwa“ sływały na klasę robotniczą w czasach, gdy była u władzy.

Przez okres półtora roku od Zjazdu w Pont-à-Lesse, aż do jesieni 1949 r., robiono więc wielki hałas na temat układu z emigracyjnym PSL, ogłoszono szumne deklaracje porozumiewawcze, niemal wskrzeszono na emigracji — z dziewiętnastoletnim opóźnieniem — „Centrolew“. Ale wszystko to było jedynie „dymną zasłoną“, za którą przygotowywano osiągnięcie pierwszego etapu na drodze do jedności ze sprawcami Brześcia i z twórcami

mi Berezy. Tym pierwszym etapem była t.zw. Rada Polityczna.

Rada Polityczna powstała w grudniu 1949 r. Na zgromadzeniu w londyńskim „Central Hall“ obwieśczone emigracji, że Polska Partia Socjalistyczna, Stronnictwo Narodowe i Polski Ruch Wolnościowy „Niepodległość i Demokracja“ (nazywany na emigracji „NiD“-em) postanowiły działać wspólnie i wyłonić spośród siebie wspólną reprezentację zwaną Radą Polityczną. Cel działania owej reprezentacji przedstawiony został oczywiście w bardzo wzniosłych i uroczystych słowach. Była więc i „demokracja“, i emigracyjny „legalizm“, i emigracyjna „ciągłość państwowości polskiej na wychodźstwie“.

A o co w rzeczywistości chodziło? Czym była Rada Polityczna?

Była to zwykła spółka finansowa Białasa i Zaremby z Bieleckim i Sojką, przywódcami Stronnictwa Narodowego oraz Rowmundem Piłsudskim i Żeńczykowskim vel Zawadzkiem z PRW „NiD“. Czytelnik w kraju zapytać gotów: cóż to takiego ten NiD? Nie chcę być posądzony o stronnictwo czy przesadę. Oddaję więc głos innym.

„W Polskim Ruchu Wolnościowym „Niepodległość i Demokracja“ w ogóle nie ma ani jednego wybitnego członka, który by w taki czy inny sposób nie był związany z jakąś agenturą.

Tacy są dumni z tego, że taki czy inny, drugi zastępca pomocnika ober-lapsa klepie ich po ramieniu, a w chwilach dobrego humoru każe sobie przynieść laskę, lub parasol... Poszli ci ludzie na obcą służbę. — Trudno. Popierają się

wzajemnie, organizują się na zasadzie wzajemnej poręki w trudnej i upokarzającej robocie podskakiewiczowskiej do różnych agenturalnych posad i posadek na całym świecie, od Monachium do Japonii. A no, świat jest wielki i sileci wywiadu muszą być wielkie. Ale skąd ta czelność do pretendowania do charakteru polskiego stronnictwa politycznego."

To nie cytaty z „Trybuny Ludu“, ani nie z „Życia Warszawy“. To organ sanacyjnej grupy Augusta Zaleskiego, „Tygodnik“, w Nr. 25 z dn. 19 czerwca 1955 r. w artykule p.t. „Dziesięć lat na służbie obcej“ składa w ten sposób gratulacje i życzenia jubileuszowe swym „ideowym krewniakom“, którzy zorganizowali się w samodzielną grupę dziesięć lat temu na emigracji. Jest rzeczą zrozumiałą, że członkowie jednej rodziny najlepiej się znają, wiedzą o swych zaletach i wadach. Ponieważ większość „wybitnych członków“ NiD-u stawiała swe pierwsze kroki polityczne właśnie w sanacyjnych organizacjach młodzieżowych, nie ma wątpliwości, że ich starsi „wujaszkwowie“ doskonale są zorientowani, czym się zajmuje dzisiaj i z jakiego proceduru żyje ich „młodzież“.

Taki to był — obok PPS i Stronnictwa Narodowego — trzeci partner imprezy, która do historii emigracji weszła pod nazwą „Rady Politycznej“. Białas i Zaremba awansowali to „zacne“ dwójkarsko-nidowskie grono do roli „historycznego stronnictwa polskiego“. Zaremba wyraża się o Nidowcach przy każdej okazji, że „to ludzie bliscy nam ideowo“. Nie można zaprzeczyć, iż w tym wypadku Zaremba jest konsekwentny. Ponieważ uważa on PPS za swój folwark, na którym

w obecnej sytuacji musiał jednak zgodzić się pełnić funkcję ekonoma w służbie Białasa — więc, mówiąc o PPS „my“ — myśli po prostu „ja“. A i Zarembie i Białasowi są niewątpliwie bliscy ideowo nie tylko agenci polskiego pochodzenia, zorganizowani w grupie zwanej „NiD“-em, ale i cała plejada innych dwójkarzy, grasująca na emigracji i służąca wywiadam obcych państw.

U podstaw pomysłu utworzenia Rady Politycznej leżały dwie ponętne finansowe oferty. Pertraktacje i targi związane z jedną z nich odbywały się prawie że jawnie, mówiono o tym głośno na emigracji. Rozmowy w sprawie drugiej oferty były raczej „zakonspirowane“. Z tego prostego powodu, że „taki czy inny drugi zastępca pomocnika oberłapsa“ — mówiąc językiem londyńskiego „Tygodnika“ — nie ma zwyczaju ogłaszać biuletynów prasowych o odprawach, które odbywał ze swymi nowozwerbowanymi agentami obcej narodowości i o sumach, które wręczył im jako wynagrodzenie za podjęcie się czy wykonanie szpiegowskich zadań. Nie odstępują więc od tej zasady funkcjonariusze amerykańskiego wywiadu. Panowie Białas i Zaremba liczyli więc niewątpliwie na dyskrecję swych amerykańskich szefów.

O tej drugiej ofercie i o jej wpływie na utworzenie Rady Politycznej będzie mowa na dalszych stronach. Najpierw należy kilka słów poświęcić tej pierwszej.

Pierwszą ofertę postawił sanacyjny pułkownik J. Kamieński. W jego posiadaniu znalazły się duże sumy pieniężne z funduszy, którymi dysponował w okresie wojny emigracyjny rząd w Londynie. W języku emigracyjnym nazywało się to, że Kamieński jest jednym z „powierników funduszy publicznych“. Dużą część owych funduszy

ulożował Kamiński w lasach, fabrykach, tartakach, statkach itp.

Przez jakiś czas, w pierwszych latach po wojnie Kamiński wypłacał pewne kwoty z owego funduszu emigracyjnemu „rządowi” londyńskiemu. Coś niecoś udzielał również WiN-owi. Ale były to oczywiście drobniaki w porównaniu z ogromną fortuną, pozostającą nadal w rękach „powiernika” w pułkownikowskiej randze.

Nic więc dziwnego, że różni wodzowie emigracyjni zabiegali o to, aby dorwać się do owego skarbu strzeżonego przez Kamińskiego. Naciskany przez sanacyjny ośrodek Zaleskiego — płk. Kamiński dokonał genialnego strategicznego manewru mającego na celu „wykiwanie” wszystkich, ubiegających się o jego skarb grup emigracyjnych polityków.

A więc w 1949 r. zaproponował Kamiński przywódcom trzech stronnictw: PPS, Stronnictwa Narodowego i NiDu przejęcie będących w jego posiadaniu funduszy — pod warunkiem, że utworzą oni wspólną reprezentację polityczną.

Oferta została przyjęta przez przywódców „historycznych stronnictw” ze zrozumiałym zadowoleniem. Widzieli się już w roli emigracyjnych „krezusów”. Rozdawali już nawet co gorliwszym swym pomocnikom tytuły „administratorów” przedsiębiorstw, zakupionych z funduszu Kamińskiego. A różnice ideologiczne? — spytałby ktoś. Przecież PPS i endecja to dwa przeciwne bieguny. Dla Białasa i Zaremby pogodzenie tych dwóch biegunów nie sprawiało jednak żadnych trudności. „Przecież konieczna jest narodowa jedność” — zakrzyknęli w stronę szeregów partyjnych.

Tymczasem pan pułkownik nie dał ani grosza. Komunikat zamieszczony w londyńskim „Robot-

niku” wyjaśniał, że komisja w składzie Białas, Sojka i Piłsudski, mająca „przejąć opiekę” nad funduszami zarządzanymi przez Kamińskiego, została rozwiązana. Pułkownik wyjechał do Kanady, a kandydaci na „opiekunów” musieli obejść się smakiem.

Ale zanim pułkownik wyjechał za Ocean, zerwawszy z endecko-socjalistycznymi protektorami, którzy przez przeszło rok ochraniali go przed żądaniem konkurencyjnej grupy Augusta Zaleskiego — zdążył również, za cenę odstąpienia „rządowi” Zaleskiego drobnego ułamka „powierzonej” fortuny, uwolnić się ostatecznie od dalszego nabywania go przez emigracyjnych przywódców. Po stwierdzeniu bowiem przez komisję „rządu” emigracyjnego, że na podstawie przedłożonych dokumentów i rachunków oraz po przesłuchaniu świadków — brakuje rozliczenia z 2 milionów 300 tysięcy dolarów i 5 tysięcy funtów szterlingów z powierzonego pułkownikowi funduszu — „rząd” w opublikowanym w prasie emigracyjnej komunikacie zawyrokował, że wprawdzie „poważne straty na przestrzeni lat zostały spowodowane”, ale jednocześnie „nie są znane żadne okoliczności, które by uzasadniały postawienie pułkownikowi dypłomowanemu J. Kamińskiemu zarzutu złej woli ani też, że powodował się on względami osobistych korzyści”.

Tak więc, okupiwszy się drobnym datkiem „rządowi” Zaleskiego i Andersa, Kamiński, mógł spokojnie pożeglować za Atlantyk, aby nadal prowadzić złote interesy „nie powodując się względami osobistych korzyści”.

Ale w chwili, gdy endecko-socjalistyczni kandydaci na „opiekunów” funduszu Kamińskiego zre-

zygnować musieli z zamiarów dobrania się do skarbów nowego kanadyjskiego „uchodźcy” — sojusz PPS z endecją był już od wielu miesięcy faktem. Białas i Zaremba zawarli alians z rasistami i faszystami polskimi. Zrealizowany więc został „pierwszy etap” na drodze do emigracyjnej „jedności”.

Lecz nie przejęto się zbyt w kierownictwie PPS tym, że opublikowanie w „Robotniku” komunikatu było przyznaniem się, iż podjętą do utworzenia Rady Politycznej i związania się PPS z faszystami i rasistami polskimi była nadzieja na zagarnięcie funduszu Kamieńskiego. Liczono się wprawdzie ze sprzeciwem uczciwych socjalistów, członków partii, lecz był jeszcze czas na to, aby „przygotować” odpowiednio zjazd partyjny, który usankcjonuje ten sojusz, zrodzony z chciwości i zachłanności „leaderów”, dopasowujących linię „polityczną” partii do nadziei obłowienia się na statkach i lasach płk. Kamieńskiego, czy do okazji zagarnięcia dolarów z funduszy szpiegowskich obcego wywiadu.

A te „dolarowe okazje” wiążą się ściśle ze wspomnianą tutaj poprzednio drugą ponętą ofertą finansową, która zaważyła na równi z zabiegami o uzyskanie „kamieńskich” dóbr w tworzeniu Rady Politycznej. By móc jednak zrozumieć wagę i wpływ tej drugiej oferty na całość polityki kierownictwa emigracyjnej PPS, należy poświęcić trochę czasu na przyjrzenie się sprawom związanym z procederem dolarowym Białasa i Zaremby. Sprawy te bowiem zasługują na szersze omówienie.

Białas i Zaremba od początku swego pobytu na emigracji budowali „organizacyjne podstawy”, aby móc działać bez żadnej kontroli ze strony pozostałych członków partii. Założyli więc w tym celu dwie „firmy”. Obok Centralnego Komitetu Zagranicznego PPS, który w myśl regulaminu pochodzić ma z wyboru Centralnej Rady Partyjnej wyłonionej przez ogólnopartyjny Zjazd, zjawił się sztyd Delegacji Zagranicznej PPS. W skład tejże Delegacji wchodzi właściwie dwóch ludzi, głównych sprawców stoczenia się kierownictwa emigracyjnej PPS na pozycje reakcji i służby wywiadowi obcego państwa. Założono również do spółki z emigrantami z innych krajów demokracji ludowej t.zw. „Międzynarodowy Ośrodek Wolnych Związkowców na Wychodźstwie”, z siedzibą w Paryżu.

Szyld Delegacji Zagranicznej służyć ma uniknięciu kontroli przez emigracyjną organizację partyjną t.zw. „działalności na kraj”. I nie tylko samej działalności. Chodzi również o ukrycie przed członkami partii z czyjej to inspiracji i dla jakich celów prowadzi się tę działalność. Chodzi o ukrycie tego z jakich źródeł pochodzą pieniądze na tę działalność. Chodzi o ukrycie tego, jakimi posługując się metodami wciąga się w tę działalność ludzi zamieszkałych w Polsce, dawnych członków PPS. Chodzi wreszcie o ukrycie tego, jaki procent sum pobranych na tę działalność biorą dwaj wspólnicy do własnych kieszeni i ile z tego wydaje Białas na jednanie sobie poszczególnych działaczy partyjnych, aby nie dopuścić do zachwiania się swej dyktatorskiej pozycji w partii.

Uczciwy socjalista na emigracji nigdy nie pogodzi się z faktem, że przywódcy partii, do której należy, są ściśle uzależnieni od sanacyjnych dwójkarzy i że działają w służbie i na żołdzie obcego wywiadu. Nigdy nie pogodzi się z faktem, że dla wykazania się wobec swych obcych mocodawców choćby pozorami jakiegokolwiek działalności na terenie Polski, przywódcy partii usiłują pchnąć do nielegalnej działalności ludzi związanych w przeszłości organizacyjnie z PPS, i że u podłoża takiego postępowania osobników mieniających się socjalistami i działaczami politycznymi, leży chęć zysku osobistego, chęć jak najwygodniejszego urzędzenia sobie życia na emigracji, choćby za to zapłacić mieli inni własnym nieszczęściem czy złamanym życiem.

Delegacja Zagraniczna PPS — a zatem Białas i Zaremba — pozostaje w ścisłej zależności od emigracyjnego kierownictwa szpiegowsko-dywerysyjnej organizacji WiN, działającej w służbie anglo-amerykańskiego wywiadu. Sanacyjni dwójkarze, kierujący WiN-owską organizacją, podporządkowali sobie całkowicie tych, dziwnego autoramentu, „przywódców klasy robotniczej” i naigravaju się przy każdej okazji z ich rzekomego socjalizmu. Wysłannikami takich ludzi posługiwali się Białas i Zaremba, usiłując wciągnąć w nielegalną działalność w Polsce byłych członków PPS. Nie znaleźli na emigracji wśród socjalistów chętnych do nadstawiania karku w kurierskiej służbie. Pozostali więc emisariusze dwójkarzy Maciołka i Rolewicza. Czyniąc rozpaczliwe wysiłki zorganizowania podziemnej siatki PPS-owskiej w kraju, Białas i Zaremba, płatni agenci amerykańskiego wywiadu, z góry już oddawali do dyspozycji sanacyjnych dwójkarzy tych, którzy ewentualnie, nie wyzbyw-

szy się jeszcze całkowicie złudzeń co do ich „socjalizmu”, zgodziliby się wejść na drogę nielegalnej działalności w kraju.

Współpraca tych dwóch „socjalistycznych liderów” z WiN-owskimi dwójkarzami nie zaczęła się jednak dopiero w chwili utworzenia Rady Politycznej. Białas już w 1947 r. ściśle współpracował z WiN-em. Zaremba czynił usilne starania, aby i na tym polu nie pozostać w tyle i z początkiem 1948 r. związał się ostatecznie z WiN-em.

Dwójkarscy specje wiedzieli dobrze, jakich to „socjalistów” udało im się kupić. Szef delegatury zagranicznej WiN-u, płk Józef Maciołek, w ten sposób scharakteryzował w rozmowie ze mną Franciszka Białasa:

„Franek to klawy chłop, często razem pijemy, ale w ten jego socjalizm to ja nie wierzę. Swym trybem życia najlepiej przekonuje mnie on, co to jest w rzeczywistości socjalizm”.

Podrwiwał również, że Białas gotów jest wciągnąć do PPS wielu swych przyjaciół — sanacyjnych pułkowników oraz, bliskiego Andersowi, gen. Wiśniowskiego.

Taką to reklamę robią swym usługowym „socjalistycznym” kolaborantom ich WiN-owscy koledzy, oczywiście poza ich plecami. W bezpośredniej współpracy obydwie strony niewątpliwie dokładają wszelkich starań, aby zadośćuczynić wymogom kurtuazji, chociaż trudniej to chyba przychodzi Maciołkowi, zachowaniem swym i słownictwem przypominającego raczej herszta apaszów aniżeli szefa politycznej organizacji. Ale poza tymi drobnymi mankamentami obydwie strony są, a w każdym razie były do czasu zadowolone z porozumie-

nia. Panowie Białas i Zaremba twierdzili, że mają „sieć“ w Polsce, panowie Maciołek i Rolewicz już z góry liczyli, że uda się im za pana zarembową protekcją złapać w swą „sieć“ jednego czy drugiego byłego PPS-owca w Polsce. Przecież „żyrafy“ i „słonie“, jak nazywali poufale i z pobłażaniem swych naiwnych angielskich i amerykańskich dolarowców, żądali dowodów „krajowej działalności“. „Sieć“ WiN-owska — jak to wiemy, od chwili ujawnienia się ostatniej krajowej komendy WiN-u przed władzami polskimi — była bliska ostatecznego zerwania ze swymi zagranicznymi szefami, coraz trafniej oceniając bezcelowość dalszego działania.

BERG

Rada Polityczna istnienie swe oparła na funduszach amerykańskiego wywiadu, uzyskanych dla prowadzenia działalności dywersyjno-szpiegowskiej w Polsce. Była szyldem politycznym dla szpiegowskiej roboty, której podjęli się przywódcy trzech stronnictw w zamian za uzyskanie stałych dolarowych subwencji z amerykańskich źródeł.

„Nadbudowa polityczna“ owego przedsiębiorstwa prosperowała w Londynie przez jakiś czas doskonale. W emigracyjnej „gadalni“ wyżywały się krasomówczo wyblakłe gwiazdy przedwzięniowego parlamentaryzmu oraz młodszy, przede wszystkim, ów dwójkarsko-nidowski „narybek“. Niedoszły „prezydent“ Arciszewski zaszczycony został godnością przewodniczącego owego tworu.

Dekoracja przedsiębiorstwa zachwycała emigracyjnych bywalców politycznych, tym bardziej że potworzono również różnego rodzaju komisje

„parlamentarne“. W „państwie na uchodźstwie“ bawiono się więc także i w parlament.

Amerykanie płacili. Nie interesowali się zbytnio sesjami owego parlamentu ani pracami jego komisji. Nie po to przecież wypłacali tysiące dolarów miesięcznie, aby grono emigracyjnych gadułów zabawiało się w parlament. Amerykańskich „fundatorów“ Rady Politycznej interesowała, i to bardzo, „praca“ pewnej tylko komórki Rady, która nosiła nazwę „Wydziału Krajowego Rady Politycznej“. Ten „wydział“ był przedmiotem szczególnej opieki amerykańskich „dobroczyńców“ i owym złotym jabłkiem, które pokrywało nie tylko wydatki związane z zabawą w parlament, ale również nabijało kieszenie głównych polskich aranżerów całej imprezy.

Wydział ten był po prostu placówką amerykańskiego wywiadu, którą zakwaterowano w Bawarii, w miejscowości Berg pod Monachium. Placówka bergowska podporządkowana była wywiadowi amerykańskiemu poprzez dwie sieci. Jedna wiodła bezpośrednio poprzez oficerów „Central Intelligence Agency“, druga pośrednio — przez „Komitet Wolnej Europy“.

Na czele placówki stał, konspirujący się pod pseudonimem „Al“, oficer amerykańskiego wywiadu, mając do pomocy innych swych rodaków również w stopniu oficerskim. Zawodowym oficerem wywiadu, przybyłym zza Oceanu, celem „zbawiania Europy“, podporządkowani byli z kolei „polscy działacze polityczni“.

Panowie Białas, Sojka i Zeńczykowski, jako reprezentanci trzech „historycznych“ stronnictw, oddawali swe usługi zaatlantyckim protektorom. Rzecz prosta, że nie za darmo. Pomijając zagar-

nięte kwoty, które były przeznaczone bezpośrednio na akcję szpiegowską w kraju, otrzymywali również specjalne wynagrodzenie nazywane „dotacją na robotę partyjną na emigracji”. Sumami tymi dzielono się po dwóch współników z każdego „historycznego” stronnictwa. Białas i Zaremba pobierali początkowo 8 tysięcy dolarów miesięcznie, później uzyskali podwyżkę do 12 tysięcy dolarów. Takie same kwoty łądowały w kieszeniach p.p. Bieleckiego i Sojki, wodzów Stronnictwa Narodowego. Reprezentanci trzeciego „historycznego stronnictwa” — Rowmund Piłsudski i Zeńczykowski, musieli zadowolić się skromniejszą kwotą 4, a później 5 tysięcy dolarów miesięcznie.

O tym, że grupa ludzi, nazywających się politykami polskimi, podjęła się szpiegowskiej roboty w służbie amerykańskiego wywiadu, głośno było na emigracji. Wskazywano niemal palcami na tych, którzy przeszli na obcy żołd. Być może niedyskrecja „leaderów” trzeciego stronnictwa „historycznego”, czujących się nieco pokrzywdzonymi mniejszym „wynagrodzeniem”, w pewnym stopniu przyczyniła się do tego, że „baza finansowa” Rady Politycznej nie była, dla interesujących się emigracyjną polityką, tajemnicą.

„Handlarze śmierci” — jak nazwano na emigracji bergowców — nie przejmowali się tym zbyt. Tych, którzy piętnowali ich zaprzędanie się obcemu wywiadowi i czerpanie zysków z „handlu śmiercią” — obrzucali oszczerstwami jako „zdrajców sprawy polskiej”.

W zachodnich Niemczech i w zachodnim Berlinie wyczekiwano na uciekinierów z Polski, którzy zgodziliby się, ulegając szantażowi i obietnicom zysków pieniężnych, wrócić do Polski dla wykonania dywersyjno-szpiegowskich zadań.

Werbowano również kandydatów do szpiegowskiej służby spośród żyjących w warunkach nędzy i bez żadnych perspektyw na zmianę losu emigrantów polskich, mieszkających w obozach diplosowskich w zachodnich Niemczech. I przy tym „zaciągu” nie gardzono również szantażem oraz kusząco obietnicami pieniężnych nagród i zezwolenia na osiedlenie się w Stanach Zjednoczonych... po powrocie z wyprawy do Polski.

Zwerbowani tymi metodami kandydaci na szpiegów i dywersantów szkoleni byli następnie na placówce bergowskiej. Później, zaopatrzeni — zależnie od wyznaczonych zadań — w mapy, broń, pieniądze, szyfry, atramenty sympatyczne, radiostacje nadawczo-odbiorcze, no i w truciznę — przetrzucani do Polski.

Rzecz prosta, że na sesjach owego emigracyjnego „parlamentu”, zwanego Radą Polityczną, ani też w toku obrad jej poszczególnych komisji „parlamentarnych” — nie referowano, ani nie debatowano nad sprawami wchodzącymi w zakres codziennej „pracy” placówki w Bergu. Nie interesowano się losem tych, których, w celu zapewnienia sobie wygodnego życia urozmaiconego zabawą w parlament, pchano bergowskim szlakiem w przepaść. „Dostojni” radni woleli omawiać sprawę emigracyjnego „legalizmu”, „kryzysu prezydenckiego”, „ciągłości państwowości na wychodźstwie” itp. arcyważne i nader ważne zagadnienia. „Handlarze śmierci” nie widzieli potrzeby zajmowania sobie czasu i absorbowania myśli losami swych ofiar.

Fakt, iż na służbę obcego wywiadu zdecydował się Bielecki i Zeńczykowski — nie może zasadniczo dziwić czy oburzać socjalisty. Ludzie, którzy nigdy nie kryli swych reakcyjnych poglądów, po-

szli drogą, którą chadzali zawsze wszyscy emigracyjni reakcjonisci, wyrzuceni falami rewolucji ze swoich krajów.

Socjalistę natomiast oburzać musiał fakt, że wśród „handlarzy śmierci”, wśród najmitów obcego wywiadu znaleźli się ludzie, którzy rościli i roszczą sobie pretensje do reprezentowania polskiej klasy robotniczej, podszywają się pod czerwony sztandar i przy każdej okazji wywołują w swych przemówieniach cienie bohaterów przeszłości.

HANDLARZE ŚMIERCI

Wywiad amerykański nie daje pieniędzy za darmo. Płaci, ale żąda „roboty”. Białas i Zaremba, napychając swe kieszenie judaszowskimi dolarami, musieli podejmować usiłowania wsiągnięcia w akcję podziemną chociażby nielicznych jednostek spośród byłych PPS-owców mieszkających w Polsce. WiN-owscy „przyjaciele” chętni byli do poczynania, przy których mogliby upiec własną pieczęć. Przecież nie dla pokrywania kosztów wycieczek Białasa na francuską Riwierę czy eskapad po paryskich lokalach rozrywkowych, ani nie dla finansowania farmy pszczelarskiej Zaremby, udzielali im w latach 1948 i 1949 dotacji finansowych z funduszków urywanych wówczas płk. Kamińskiemu. No i nie dbałość o pomnożenie majątku Zaremby powodowała szefami WiN-u, gdy te czy inne fragmenty ze swych szpiegowskich raportów udostępniali mu dla sprzedaży amerykańskim rozgłośniom radiowym w formie rzewnych, „rewelacyjnych” artykułów.

Należało również i wobec amerykańskich mocodawców wykazać się wreszcie jakimś socja-

listycznym kontaktem w kraju — i zrewanzować się WiN-owcom za „grzeczności”, aby mogli eksploatować ten kontakt dla siebie.

Rozpoczęto więc sprzedaż WiN-owcom adresów byłych PPS-owców w Polsce, z nadzieją, że a nuż jeszcze któryś z nich żywi resztki zaufania do pana zarembowego „socjalizmu” i wierzy w szczerość jego socjalistycznych przekonań.

Czytelnik prasy krajowej zna zapewne oświadczenie przedwojennego działacza PPS, Romana Garlickiego, zamieszczone w „Trybunie Ludu” z początkiem 1953 r. i wie z tego oświadczenia, że do Garlickiego, Białas i Zaremba, przysłali swego WiN-owskiego emisariusza, aby namówić go do nielegalnej działalności. Otrzymali wówczas taką odprawę, jaką powinni byli otrzymać.

Ażeby dać przykład do jakich to metod zdolni są ci „luminarze” polskiej emigracji, przytoczę inny jeszcze krajowy wyczyn Zaremby.

Po moim wyjeździe z kraju, o którym wspominałem na pierwszych kartkach broszury, żona moja znalazła się w ciężkiej sytuacji, ukrywając się bez środków do życia. Przenosząc się z miejscowości do miejscowości usiłowała dorywczo pracować, co jednak na dłuższą metę nie udawało się wskutek niemożliwości uzyskania fałszywych dokumentów, celem zameldowania się.

W tej sytuacji, w marcu 1950 r. zwróciłem się do Zaremby, który w poprzednim okresie chwalił się kilkakrotnie przede mną, że posiada w kraju kontakty — z prośbą o sporządzenie i doręczenie żonie fałszywego dowodu osobistego. Zaremba jak zwykle z obłudną serdecznością pomoc tę przyrzekł. Wówczas w zaufaniu podałem mu adres, przez który można by nawiązać kontakt z moją żoną. Oczywiście żadnej pomocy żonie nie udzie-

lono i nikt z „sieci” pana Zaremby na wskazany przeze mnie adres nie zjawił się z tego prostego powodu, że „sieć” owa istniała tylko w jego wyobraźni.

W tym czasie żona zdołała samodzielnie rozpocząć legalne życie w kraju i znalazła wkrótce zarobkową pracę.

Jak już stwierdziłem poprzednio, w krytycznym momencie Zaremba pomocy nie udzielił. Lecz w kilka miesięcy później, gdy żona pracowała już w jednym ze związków branżowych w Krakowie, pod adresem podanym przeze mnie uprzednio w zaufaniu Zarembie, zjawiają się kilkakrotnie łącznicy WiN-u — podszywający się pod moje nazwisko. „Emisariusze” ci proponują żonie zorganizowanie WRN-owskiej sieci konspiracyjnej w Krakowie, nawiązanie kontaktów z innymi nielegalnymi organizacjami i wyłonienie wspólnie z nimi delegatury Rady Politycznej na kraj.

Fakt, że na moje nazwisko powołują się ludzie, którzy stwierdzają, iż nie są socjalistami i namawiają do nawiązania kontaktów z niesocjalistycznymi, nielegalnymi organizacjami, obudził podejrzenia żony. W liście do mnie zwróciła się o wyjaśnienia. List ten, wręczony w Polsce emisariuszowi WiN-u, trafił oczywiście w Paryżu do rąk Zaremby. Usiłował on zdyskontować go na swoją korzyść, wmawiając mi w rozmowie, że posiada łączność z jakąś nielegalną organizacją PPS-owską działającą w kraju. Gdy oświadczyłem, że wszystko przemawia za tym, iż takiej organizacji nie ma, a on pozostając za granicą usiłuje pchnąć w łapy dwójkarzy WiN-owskich ludzi, którzy jako socjaliści nie z tego rodzaju „działalnością” nie chcą mieć wspólnego — Zaremba nie zaprzeczył temu, lecz w bezczelny i arogancki sposób

usiłował przekonać mnie, iż moja żona, jako członek partii, podlega dyrektywom Centralnego Komitetu Zagranicznego i ja nie mam prawa wtrącać się w te sprawy.

Dzisiaj, po moim powrocie do kraju, znam całą prawdę. Wówczas, w Paryżu, znałem tylko jej ułamek i skazany byłem na snucie domysłów. Dziś jeszcze wyraźniej widzę ogrom cynizmu tego bergöwskiego „handlarza śmierci”. W 1950 r., właśnie na skutek mego opozycyjnego stanowiska i zwalczania sojuszu kierownictwa partii z polskimi faszystami oraz piętnowania Białasa i Zaremby, ten ostatni sprzeciwiał się kategorycznie i przeciwdziałał objęciu przeze mnie sekretariatu sekcji partyjnej w Paryżu, pomimo że zostałem wybrany do Zarządu zdecydowaną większością głosów w tajnym głosowaniu. Oświadczył mi wówczas, że kierownictwo partii na skutek mojej opozycji „nie ma do mnie zaufania”. Równocześnie spowodował zwolnienie mnie z pracy zarobkowej. Nie przeszkadzało mu to jednak w tym samym czasie nadużywać w Polsce mojego nazwiska i nazwiska rodziny mojej żony. Nie przeszkadzało mu to równocześnie gotować w kraju najbliższej mi osobie nowe nieszczęście, które przyniosło jej znów półtoraroczną poniewierkę i utratę zdrowia. W tym zakresie pan Zaremba „miał zaufanie”. Dzisiaj wiem aż nadto dobrze, że opinie, które wypowiadałem w czasie mego pobytu na emigracji o tym cynicznym kramikarzu o drobnomieszczańskiej mentalności, dalekie były od odkrycia w pełni jego prawdziwego oblicza.

Zaremba nie znalazł w kraju chętnych do służby w swojej siatce wśród tych, którzy w latach przedwojennej działalności byli jego podporami. Ci, na podstawie swych przedwojennych doświad-

czeń, dobrze wiedzieli, co myśleć o „socjalizmie“ Zaremby. Próbował więc zarzucić swe sieci w Krakowie, licząc na to, iż tam, gdzie w ostatnim okresie wojny znalazł schronienie i gdzie obnosił się ze swoją „glorią“ rzekomego bohatera warszawskiego powstania, może jeszcze ktoś uwierzyć w jego lewicowość. Przez wiele lat udawał przecież socjalistę — usiłował więc jeszcze raz socjalistyczną frazeologią osłonić swą chciwość i dążenie bez skrupułów do zysków za wszelką cenę, nawet za cenę nieszczęść, łez, krwi i złamanego ludzkiego życia.

ICH POMOCNICY

Tajemnica Bergu pewnego dnia przestała być tajemnicą. Jak już wspomniałem, nie była tajemnicą od dawna dla emigracyjnego Londynu czy emigracyjnego Paryża. Ciągący z niej zyski oburzali się wprawdzie na ludzi, którzy wskazywali na nich jako na utrzymanków obcego wywiadu, działających na obcy rachunek i dla obcych celów. Ale zachowaniem swym potwierdzali słuszność oskarżeń. Obnosili się triumfalnie jako „wielcy wtajemniczeni“, trzymający w rękach nici tajemnej sprawy. Pozowali na „ojców ojczyzny“ i w niedopowiedzianych zdaniach dawali do zrozumienia, jakoby oni to sprawowali „rząd dusz“ w Polsce.

Ale przyszedł dzień, gdy tajemnica Bergu przestała być tajemnicą nie tylko dla „polskiego“ Londynu czy „polskiego“ Paryża. Prasa polska — na podstawie relacji dwu byłych współpracowników placówki bergowskiej — ujawniła szczegóły dochodowej imprezy Białasa, Bieleckiego, Żeńcykowskiego i ich pomniejszych współników. Po-

różniony z władzami swego stronnictwa pracownik placówki w Berg, endek Kazimierz Tychoła, opublikował na emigracji szczegóły wszystkich brudów bergowskich. Stwierdził m. in., że na placówce bergowskiej, służącej do prowadzenia szpiegostwa w Polsce, „polscy socjaliści“ i „polscy narodowcy“ zatrudniali jako „oberspeców“ gestapowców i kryminalistów. Fakt ten najlepiej chyba dowodzi, w jakim jedynie środowisku mogli werbować swolch współpracowników ci, którzy stoczyli się w otchłań zdrady Polski. Oczywiście nie werbowali za darmo. Z ciężkim co prawda sercem, ale musieli jednak wynagradzać usługi rzezimieszaków.

Amerykańskich szefów nie obchodził oczywiście skład personalny placówki i bynajmniej nie interesowali się „chlubną“ przeszłością poszczególnych funkcjonariuszy „Wydziału Krajowego Rady Politycznej“, lecz tylko wynikami ich działalności. Toteż, gdy placówka została zdekonspirowana, „spaliła się“ — przegnali całe dobrane towarzystwo na cztery wiatry, co naturalnie łączyło się z przerwaniem dolarowych wypłat. Żaden bowiem wywiad nie jest instytucją filantropijną i nie przejmuje się dalszym losem „spalonego“ agenta. Zapobiegliwi o swą kieszeń „socjalistyczni“, endecy i nidowscy „handlarze śmierci“ zdążyli jeszcze podzielić pomiędzy siebie pokaźną sumę ponad 500 tysięcy dolarów, przeznaczoną przez amerykańskich zleceniodawców na pomoc dla ofiar ich „działalności“ — aresztowanych w Polsce i ich rodzin. Po prostu nie chcieli sobie zadać trudu doręczenia tych kwot adresatom. W swych wysubtelnionych sumieniach uznali, że największymi ofiarami są właśnie oni, gdyż na skutek „wsypy“

utracili — przynajmniej na pewien okres czasu — jedno ze źródeł pomnażania swych majątków. Aby więc „przetrzymać ciężkie czasy“, zaopatrzyli się przezornie w ową likwidacyjną, dolarową odprawę za służbę.

„WOLNI ZWIĄZKOWCY“

Nie trudno było zaobserwować, że równocześnie z likwidacją placówki w Bergu — druga, obok Delegacji Zagranicznej PPS, dochodowa instytucja założona na emigracji przez Białasa i Zarembę t.j. „Centre International des Syndicalistes Libres en Exil“ (Międzynarodowy Ośrodek Wolnych Związkowców na Wychodźstwie) zaczęła drzeć w swych materialnych podstawach.

Wystarczy rzucić okiem na tę „zacną“ instytucję, aby zorientować się, co ukrywano pod nazwą organizacji „wolnych związkowców“. Ujrzała ona światło dzienne jesienią 1948 r; twórcą jej był niezrównany, przedsiębiorczy agent amerykańskiego wywiadu Irwing Brown, maskujący się w Europie pod szyldem działacza centrali amerykańskich związków zawodowych.

Współtwórcami zaś ośrodka byli Białas i Zaremba, którzy dobrali do tego orszaku godnych siebie kompanów innych narodowości spośród emigrantów z krajów demokracji ludowej. Bułgarskich „związkowców“ reprezentuje więc w Ośrodku niejaki Georgij Petkow, fabrykant konserw i honorowy uczestnik zjazdów hitlerowskich przemysłowców w okresie wojny. Rumuński „ruch zawodowy“ ma swego reprezentanta w osobie Eftimi'ego Ghermana, który w okresie dyktatury faszystowskiej w Rumunii zasiadał w mianowanym przez dyktatora parlamencie jako

„reprezentant górników“. W tym dobranym gronie nie brakło również „reprezentanta jugosłowiańskich robotników“, który to tytuł podjął się dźwigać ofiarnie na swych barkach niejaki dr Ziwko Topalowicz, ongiś reprezentant jugosłowiańskiego, faszystowskiego reżimu w Międzynarodowym Biurze Pracy, a w czasie wojny spacerujący po ulicach Belgradu z rewolwerem w kieszeni... bynajmniej nie jako partyzant. Niech nikt „dostojnego“ mecenasa belgradzkiego nie posądza o taką brzydką nielojalność wobec hitlerowskich władz okupacyjnych.

Pan doktor jest wyznawcą zasady „Les sacrifices sont nécessaires“ (ofiary są konieczne). Bez troski głosi pan doktor te hasła, dowiadując się o aresztowaniach osób pchniętych przez niego i jego kompanów z Ośrodka w nielegalną działalność w krajach demokracji ludowej.

Nie zabrakło również w tym gronie horty'owskiego „socjalisty“ Karola Peyera, który z kolei „reprezentuje“ węgierską klasę robotniczą. Skompletowawszy tego rodzaju zespół „robotniczych działaczy związkowych“ oraz posiadając poparcie pierwszego ofiarodawcy p. Browna, można było zapukać do instytucji nazywającej się „Komitetem Wolnej Europy“, aby uzyskać dalsze dolarowe dotacje, które miały wpłynąć do kieszeni „działaczy“ w formie wynagrodzeń za „pracę“. Praca ta polega na wzajemnych, nieraz bardzo burzliwych targach o podział dolarów, podczas tak zwanych zebrań egzekutywy Ośrodka. Szantażując personel biurowy ewentualnością zwolnienia z pracy w Ośrodku, wymuszano w ten sposób podpisy zatrudnionych na „dodatkowych“ listach płac, a pokwitowane kwoty „działacze“ dzielili pomiędzy siebie. W zapale uzupełniania

swych osobistych kies, „wolni działacze związków zawodowych“, zapomnieli o takiej drobnostce, że francuska klasa pracująca od dawna wywalczyła sobie, niedoskonały jeszcze wprawdzie, ale w każdym razie system ubezpieczeń społecznych, i że ktokolwiek zatrudnia pracowników winien płacić za nich stawki ubezpieczeniowe. Na skutek owego „zapomnienia“ przez szereg lat nie ubezpieczano zatrudnianych kolejno pracowników Ośrodka.

To „zapomnienie“ znaleźć by wprawdzie mogło od biedy jakieś wytłumaczenie o ile chodzi o „wolnych związkowców“, którzy dziesiątki lat przeżyli w swych ojczystych krajach, w których to różnie bywało w owych czasach z ubezpieczeniami. Nie mógł jednak zasłaniać się takim brakiem pamięci, odnośnie obowiązujących we Francji ustaw — z nominacji Białasa sekretarz generalny Ośrodka — Aleksander Skrodzki. Pan ten bowiem nigdy w swym życiu Polski na oczy nie oglądał, a wyrósł, wychował się, żył i żyje we Francji.

Lecz nie mam bynajmniej zamiaru zagłębiać się szczegółowo w rozpatrywanie tego rodzaju „drobnostek“, obrazujących stosunek „wolnych związkowców“ do podstawowych zdobyczy ruchu robotniczego, jakimi są obowiązujące ubezpieczenia społeczne.

Ważniejszym w tej sprawie jest fakt, iż posługując się szyldem „Międzynarodowego Ośrodka Związkowców“, Białas i Zaremba założyli w zachodnim Berlinie t.zw. przedstawicielstwo tegoż Ośrodka. Z ramienia Ośrodka funkcję przedstawiciela objął p. Zdzisław Kudlicki, mianowany przez „wodzów“ socjalistą i związkowcem. Przedstawicielstwo to podporządkowane amerykańskiemu wywiadowi, umieszczone w tak ważnym punkcie jak Berlin, miało tłumaczyć wciąż nowe

żądania „związkowców“ pod adresem ekspozytury amerykańskiej dwójki, noszącej nazwę „Komitetu Wolnej Europy“. Nazwiska amerykańskich milionerów, „królów“ filmu, samochodów czy smalcu, którzy raczą zaszczycać swym udziałem komitet honorowy tej instytucji, od razu rzucają pewne światło na właściwy jej charakter. Działalność wspomnianego „socjalisty i związkowca“ w jednej osobie, p. Kudlickiego, polegała w rzeczywistości na ułatwianiu amerykańskiemu wywiadowi wyłapywania uciekinierów z Polski. Następnie na wydobywaniu od nich wszystkich wiadomości, które ewentualnie okazałyby się pożyteczne dla amerykańskiego wywiadu oraz na próbach werbowania, metodą szantażu i obiecywanego wynagrodzenia, z pośród wspomnianych uciekinierów, ewentualnych kandydatów na nielegalny powrót do Polski dla wykonania wyznaczonych im szpiegowsko-dywersyjnych zadań. Krótko mówiąc, „przedstawicielstwo wolnych związkowców na uchodźstwie“, rezydujące w zachodnim Berlinie, było jedną z placówek „handlu śmiercią“, na której Białas i Zaremba nieźle zarabiali. Placówce wywiadu amerykańskiego w Berg sprzedali szyld Polskiej Partii Socjalistycznej, placówce tegoż wywiadu w zachodnim Berlinie sprzedali z kolei szyld związków zawodowych. Bankructwo placówki bergowskiej spowodowało ujawnienie faktów, że „działacze Wydziału Krajowego Rady Politycznej“, nie mogąc się w pewnych okresach wykazać żadnymi rezultatami swej „działalności na kraj“, fałszowali po prostu raporty dla swych amerykańskich szefów i podstawiali im specjalnie wyuczonych osobników jako „świeżych uchodźców z Polski“. Bardzo obrazowo opisał te sprawy w wydanej

na emigracji broszurze p.t. „Ostatni raport“, pracownik placówki w Berg, wspomniany już endek Kazimierz Tychota. Nic więc dziwnego, że amerykańscy szefowie nabrali również podejrzeń co do prawdziwości materiałów przedstawianych przez „przedstawicielstwo wolnych związkowców“ w zachodnim Berlinie i ograniczyli zakres jego zadań, co sprowadziło się w rezultacie do zmniejszenia wypłat na „koszty działania“.

Chcąc być sprawiedliwym, należy przyznać, że przedstawicielstwo nie pozostało całkowicie bezrobotne. Wnosiło i nadal wnosi swój wkład w dzieło „uwolnienia Europy“. I to na odcinku, który szczególnie dotyczy nas, Polaków. Dostarcza mianowicie niemieckim rewizjonistom artykuły i materiały prasowe, mające wzmacniać ich propagandę odebrania Polsce Ziemi Odzyskanych.

Wychodzący w zachodnim Berlinie i przeznaczony w głównej mierze dla wspomagania dywersyjnej działalności w Niemieckiej Republice Demokratycznej „Die Stimme der Freiheit“ zamieszcza w nr. 8, z sierpnia 1954 r. artykuł o naszych Ziemiach Odzyskanych, nazywając je „niemieckimi obszarami na wschód od Odry i Nysy“ lub na odmianę „niemieckimi obszarami wschodnimi“. Artykuł jest stekiem oskarżeń przeciwko polskiej gospodarce na Ziemiach Zachodnich i próbuje przekonać czytelnika, że jedynym wyjściem z sytuacji byłoby oddanie tych ziem Niemcom. Czytamy tam m.in. że:

„...niemieckie obszary na wschód od Odry i Nysy, znajdujące się pod polskim zarządem, stały się prowincjami zaniedbanymi i słabo zaludnionymi; zaludnienie ich przez Polaków nie udaje się“.

A pod tym artykułem propagandowym, nasyconym kłamstwami i oburzeniem z powodu przynależności Ziemi Zachodnich do Polski podpisany jest: „Internationales Zentrum Freier Gewerkschaftler im Exil“ czyli „Międzynarodowy Ośrodek Wolnych Związkowców na Wychodźstwie“.

Zapamiętajmy sobie, przewodniczącym Ośrodka jest Franciszek Białas, dyktator emigracyjnej PPS — sekretarzem generalnym Ośrodka jest podopieczny walet Białasa, Aleksander Skrodzki, członek CKZ PPS — a kierownikiem wydawnictw i „ideologiem“ Zygmunt Zaremba, przewodniczący Delegacji Zagranicznej PPS. Chyba wystarczy. Służba niemieckim rewizjonistom na rozkaz amerykańskich oberszefów, służba w walce rewizjonistów przeciwko naszym Ziemiom Zachodnim — chyba bardziej przekonywa o prawdziwym stosunku przywódców emigracyjnej PPS do granicy Odra-Nysa, aniżeli takie czy inne, upiększone wniesłymi pseudopatriotycznymi frazesami wypowiedzi tych ludzi w ramach różnego rodzaju emigracyjnych „rad“, „rządów“, czy „komitetów“. Wzniosłe deklaracje i oratorskie zwroty nie przekreślają faktu czynnej pomocy odwetowcom niemieckim, wysuwającym, jako pierwszy punkt swego programu, zabór polskich ziem nad Odrą i Nysą. Pójście w służbę amerykańskiego wywiadu zaprowadziło Białasa i Zarembę w szeregi pomocniczej służby neohitlerowskiej propagandy rewizjonistycznej.

JEDNOŚĆ Z SANACJĄ

Ujawnienie się afery Bergu skompromitowało „wodzów“ emigracyjnej PPS i spowodowało zupełne bankructwo tworu zwanego Radą Polityczną.

Zabrakło przecież materialnej bazy dla kontynuowania zabawy w parlament na uchodźstwie. Dolarzy przestały dopływać.

Postanowiono więc zaprezentować się emigracji i amerykańskim szefom pod nowym szyldem. A za jednym zamachem zrealizować równocześnie drugi etap na drodze do emigracyjnej „jedności”. Tą udoskonaloną formą narodowej jedności miało stać się, oficjalne już tym razem, wystąpienie wspólnie z sanacją. Sanacyjni wodzowie z zazdrością przypatrywali się przez kilka lat bergowskim sukcesom pieniężnym swych pepesowsko-endeckich konkurentów, przynoszącym obfite zyski w dolarach. Odsunięci przez atlantyckich protektorów na dalszy plan, czekali na dogodną chwilę, aby móc się odegrać i wkupić do towarzystwa jako silniejszy partner. A tymczasem w patetycznych wypowiedziach piętnowali „uleganie oszałamiącemu brzękowi obcej monety”. Oczywiście mając na myśli swych bergowskich konkurentów.

Czekając więc spokojnie i cierpliwie, Sosnkowski, Grażyński i wszyscy z nimi stowarzyszeni — doczekali się owego dogodnego momentu. Skompromitowana ujawnieniem się afery Bergu socjalistyczno-endecka Rada Polityczna powitała ich niemal jako zbawców.

O cóż w gruncie rzeczy chodziło? Czy o różnice programowe, o sprzeczności ideologii poszczególnych grup? Bynajmniej. Program Białasa i Zaremby nie odbiega w niczym od programu Bieleckiego czy Sosnkowskiego; bowiem ani jeden, ani drudzy nie posiadają żadnego programu. Powodują nimi wyłącznie osobiste ambicje i chęć jak najwygodniejszego życia na emigracji.

Chodziło więc wyłącznie o „przetarasowanie” nazwisk, o zmianę szyldu, aby móc znów zaofe-

rować swe usługi obcym. Na wodza — zjednoczyciela upatrzono gen. Kazimierza Sosnkowskiego.

I tutaj przywódcy PPS, którzy od czerwca 1947 r. zajadle gardłowali, iż jedynym legalnym „prezydentem” na emigracji jest Tomasz Arciszewski, wykazali zadziwiającą giętkość w dostosowywaniu się do sytuacji. Centralny Komitet Zagraniczny PPS na swym zebraniu dnia 7 lutego 1953 r. „wyraził zgodę na objęcie stanowiska prezydenta RP przez generała Sosnkowskiego” (Robotnik, Nr 2, luty 1953 r.). Sam wydziedziczony przez sanację niedoszły „prezydent” Arciszewski, pospieszył w tymże samym numerze „Robotnika” powitać Sosnkowskiego jako jedynego godnego kandydata na „prezydenta” uchodźczego państwa.

Lecz targi o „jedność” trwały długo. Nic w tym dziwnego. Poszczególni partnerzy rokowań pragnęli przecież wytargować jak najsilniejsze pozycje i tytuły dla siebie. Wreszcie 14 marca 1954 r. podpisano ostatecznie akt ufundowania nowego, tym razem emigracyjnego, Ozonu, który to akt nazwano „Aktem Zjednoczenia”. Czynnikiem dopingującym do ostatecznego sfinalizowania umowy o założeniu nowej emigracyjnej spółki, tym razem już oficjalnie z sanatorami, nie było bynajmniej wysuwane oficjalnie wobec rzesz emigracyjnych hasło „narodowej jedności i zgody”. Czyż mogli się kierować tymi powodami ludzie, o których wychodzący w Detroit, reakcyjny „Dziennik Polski”, bynajmniej nie podejrzewany o brak ciepłych uczuć do emigracyjnej polityki, pisał 10 stycznia 1953 r., że:

„Za cenę lekkich zarobków, zamiast pracować na kawałek chleba... sprzedają swe usługi obcym. W zanadrzu noszą piękne hasła służby Polsce.

a rękę wyciągają do okienka płatnika obcej agentury..."

Materiałem spajającym apostołów emigracyjnej jedności, bez względu na ich kolor polityczny w przeszłości, miał być dla odmiany tym razem nie mieszek pułkownika Kamińskiego, jak to było w 1949 r. — lecz obiecywana przez generała w nagrodę za zjednoczenie brzącząca obca moneta. Kazimierz Sosnkowski obiecywał bowiem, na początek kwotę nie do pogardzenia, 250 tysięcy dolarów.

W „Akcje Zjednoczenia“ sanacja odegrała się nieco nad swymi konkurentami z Rady Politycznej. Wprowadzono bowiem do owego cyrografu zjednoczeniowego punkt, w którym wyraźnie powiedziane jest, że wszyscy „dostojni“ kontrahenci wyrzekają się pobierania funduszy z obcych źródeł na własną rękę, a upoważniony do tego będzie jedynie wyłoniony przez nich „legalny rząd“. W ten sposób podpisujący ów wiekopomny akt przywódcy PPS przede wszystkim przyznali najoficjalniej, iż dotychczas — podobnie jak i ich pozostali partnerzy — brali fundusze od obcych na własną rękę, co było m. in. przyznaniem się do afery Bergu, której wobec szeregów partyjnych próbowali się wypierać. Następnie, wszyscy „zbawcy ojczyzny“ podpisujący „Akt“ usiłowali tą drogą zabezpieczyć się przed wzajemnym konkurencyjnym wyrywaniem sobie pieniędzy z obcych wywiadów i umawiali się, że brać można, ale „razem, kupą mości panowie“, bez wzajemnego podstawiania sobie nóg, bez „kantowania się“. Potem sprawiedliwie, według „zasług“ między siebie podzielić, aby nikogo „zasłużonego“ nie skrzywdzić.

Czy emigracyjni wodzowie, podpisujący „Akt“ z owym punktem myśleli o jego dotrzymaniu —

to inna sprawa. Znając bowiem ich wzajemną solidarność odnośnie spraw finansowych — należy raczej przypuszczać, że każdy z nich odkładał na później sprawę obmyślenia metod, niezbędnych do okpienia drugiego. Dolary obiecane przez Sosnkowskiego, miały wszak dopiero napłynąć, gdy przejmie on „legalnie“ tytuł „pierwszego obywatela“ emigracyjnego państwa, odpowiedzialnego jak wiadomo — według obowiązującej w tym „państwie“ konstytucji z kwietnia 1935 r. — tylko „przed Bogiem i historią“.

W ten sposób powstał nowy emigracyjny „parlament“, tym razem noszący nazwę „Tymczasowej Rady Jedności Narodowej“. Tutaj znalazło już przytułek całe towarzystwo w komplecie. TRJN — to spółka Białasa, Zaremby, Arciszewskiego i Ciołkosza z Andersem, Bieleckim i Grażyńskim. To spółka rzekomych przywódców klasy robotniczej ze wszystkimi odłamami polskiego faszystwu i reakcji. To powiększenie dotychczasowej „rodziny“ z Rady Politycznej — o zespół ludzi odpowiedzialnych za Brześć i Berezę, za tłumienie strajków robotniczych salwami granatowej policji, za pacyfikację wsi polskich i ukraińskich.

Ukoronowaniem owej emigracyjnej jedności miało być „legalne“ przekazanie prezydentury przez Zaleskiego Sosnkowskiemu.

Ale nikt nie jest przecież w stanie odgadnąć wyroków boskich, jeżeli idzie o sprawy emigracyjnej prezydentury, a historia dopiero po wielu dziesiątkach lat wyda swój werdykt. Z tego założenia wyszedł niewątpliwie dotychczasowy piastun urzędu „prezydenta“, strażnik faszystowskiej konstytucji z 1935 r., August Zaleski, kiedy orzekł, że Kazimierzowi Sosnkowskiemu miejsca nie ustąpi.

W oświadczeniu Zaleskiego z 8 czerwca 1954 r. brzmiało to, że:

„...nie znajduje w swym sumieniu możliwości powzięcia decyzji wyznaczenia generała Sosnkowskiego na następcę Prezydenta Rzeczypospolitej“ (Robotnik, Nr 4, lipiec 1954).

Zresztą któż by to mógł rozkazać Zaleskiemu, aby ustąpił miejsca pomazańcowi Bieleckiego czy Białasa, skoro jest odpowiedzialny za swe postępowanie nie przed zgranymi bergowskimi handlarzami śmierci, ale „przed Bogiem i historią”? Sumienie nie pozwoliło i kropka. Sumienie owo byłoby z pewnością mniej wyczulone, gdyby p. Zaleski znalazł się w starciu ze zgrupowaną koalicją swych emigracyjnych konkurentów całkowicie osamotniony. Ale był jednak ktoś zainteresowany w tym, aby wszyscy wodzowie polskiej reakcji emigracyjnej nie przeszli wyłącznie pod komendę protektorów zza Atlantyku. Tym tajemniczym kimś była odpowiednia komórka, odpowiedniego biura aparatu gościnnego państwa, które udziela p. Zaleskiemu prawa pobytu, dając mu możliwość bawienia się w głowę państwa na uchodźstwie. Ta komórka urzędu angielskiego, noszącego osławioną nazwę „Intelligence Service“, wywarła w tym wypadku decydujący wpływ na „sumienie“ p. Zaleskiego. Uzyskawszy jej aprobatę, mógł z całym spokojem sumienia stwierdzić, że „nie znajduje... możliwości powzięcia decyzji...”. Upewnił się bowiem w przekonaniu, że „żyrafy“ są nadal zainteresowane dywersją na odcinku polskim i nie dopuszczają, by ostatni bastion ich posiadania, tj. zamek p. Zaleskiego, dostał się pod opiekę konkurencyjnych „słoni“.

Sytuacja wytworzona przez zjednoczenie się przywódców PPS z endecją i sanacją oraz przez „głos sumienia“ Augusta Zaleskiego trwa do chwili obecnej. Emigracja ma teraz aż dwa ośrodki „legalnej władzy“. Zabawa w państwo na uchodźstwie trwa. Przywódcy PPS znajdują dostateczne pole do wyżywiania się w miotaniu zarzutów przeciwko „zamkowi“ Zaleskiego. Sekundują w tym Białasowi, Zarembie i Ciołkoszowi — Bielecki i Anders, Grażyński i Rowmund Piłsudski. Pan Zaleski trwa jednak nieugięty. Odpowiada tylko „przed Bogiem i historią“, no i przed „żyrafami“, udzielającymi poparcia emigracyjnemu „zamkowi“. Przywódcy „socjalistyczni“ pod komendą gen. Andersa, pod ideologicznym kierownictwem wodza endecji Tadeusza Bieleckiego, okopali się na pozycjach konkurencyjnego „legalizmu“ jako „zjednoczony“ ośrodek gotowy do usług i dyspozycji zaatlantyckich „słoni“.

LIKWIDATORZY PPS

Tak to krok po kroku prowadzili emigracyjną PPS jej przywódcy na podwórko reakcji. Równolegle grzęźli coraz głębiej w służbie obcego wywiadu, staczając się do roli zwykłych agentów. Poprzez współpracę z WIN-em, poprzez protekcję Irvinga Browna, weszli na szerokie drogi bezpośredniej służby w amerykańskim wywiadzie: Berg, „przedstawicielstwo wolnych związkowców“ w zachodnim Berlinie, „handel śmiercią“ wspólnie z WIN-owcami, endekami i NiD-em. Następnie przyszedł alians z sanacją pod komendą generałów Sosnkowskiego i Andersa i sojusze z reakcją i faszyzmem polskim. I wreszcie współpraca z rewizjonistami niemieckimi w ich antypolskiej propa-

gandzie skierowanej przeciwko naszym Ziemiom Zachodnim.

Któż wiódł emigracyjną partię na tę drogę? Kto wytworzył swym postępowaniem sytuację, że mimo iż w PPS na emigracji byli i są jeszcze nadal uczciwi, przywiązani do tradycji socjalistycznej partii członkowie — nazwa jej używana jest do sojuszków z faszyzmem, sprzedawana jest obcym wywiadowi dla dywersyjno-szpiegowskiej działalności przeciwko Polsce?

Rolę grabarzy partii, rolę jej likwidatorów odegrali przede wszystkim dwaj ludzie. Są to Franciszek Białas i Zygmunt Zaremba.

Kim jest pierwszy z tych dwóch „przewódców”? Odszedł niegdyś w pomajowych latach od partii, bo tak było wówczas wygodniej. Chociaż nie pamiętał ze względu na swój wiek czasów, gdy decydujący wpływ w kierownictwie PPS miał „dziadek” — poszedł za nim. Bo Józef Piłsudski był wówczas przy władzy i zapowiedział „łamanie kości” opozycji.

W odpowiedniej chwili Białas wrócił do PPS, a nawet objął dobrze płatną posadę administratora „Robotnika”. W latach wojny, korzystając z nieznanymi protekcji, wydostał się z obozu jenieckiego w Austrii. W londyńskiej delegaturze rządu na kraj stanął na czele „Antyku”. Co to był „Antyk”, wiemy dobrze. „Antyk” czyli „Agencja Antykomunistyczna” nie zajmowała się bynajmniej walką z hitlerowskim okupantem, lecz „rozpracowywaniem” antyhitlerowskiego, komunistycznego podziemia. W akcji tej Agencja nie gardziła współpracą z gestapo. Kierownik tej agencji Białas, przybierający dzisiaj na emigracji, wśród nieznanym jego przeszłości robotników polskich — emigrantów, pozę bohatera antyhitlerowskiego podziemia — nie ma po temu najmniejszego prawa.

Znamienne jest, że zatrzymany przypadkowo po powstaniu warszawskim w Podkowie Leśnej przez patrol niemiecki Białas, po konferencji z jednym z dygnitarzy gestapo w okupowanej Polsce, kpt. Spillkerem, został wypuszczony na wolność i najspokojniej dygnitarzował dalej w londyńskiej delegaturze.

Później, w 1946 r. emigrował. W krótkim czasie stał się dyktatorem emigracyjnej PPS. Przede wszystkim podporządkował sobie pozostałą czwórkę „filarów” partii, tj. Zarembę, Arciszewskiego, Ciołkosza i Kwapińskiego. O ile chodzi o przeszłość i o staż partyjny, Białas czuł się z tej piątki najsłabszy. Ale równocześnie znał dobrze słabość swych partnerów, a zwłaszcza bezwzględną, kramikarską chciwość Zaremby. Wiedział, że wszyscy oni lubią mieć pieniądze i lubią te pieniądze gromadzić.

Momentem decydującym był tu niewątpliwie fakt, że w rękach — a raczej w kieszeni — Białasa znalazły się całe fundusze wywiezione z kraju lub uzyskane za granicą. Od 1948 r., bez względu na to jaki kolejno oficjalny tytuł w kierownictwie partii przypada Białasowi — jest on jej dyktatorem.

Białas przyjechał na emigrację nie tylko z kapitałem w dolarowych papierkach, z których niektóre pakiety nadpalone były w czasie pożarów warszawskiego powstania. Przywiózł i inny kapitał. Siedział mocno w WiN-ie i z okresu okupacji posiadał skromne chody do brytyjskiej Intelligence Service.

I jedną i drugą część emigracyjnego posagu Białasa potrafił dobrze ocenić Zaremba. Schował do kieszeni swe własne ambicje na dyktatora partii, aby za nagrywanie „ideologicznych” melodii, do politycznych wolt Białasa, uzyskać udział w łupach. Podjął się roli pomocnika Białasa w duszeniu

wszelkich rodzących się w szeregach partyjnych sprzeciwów i oporów, przeciwko spychaniu partii na podwórko polityczne emigracyjnej reakcji i służby obcemu wywiadowi. Usiłując wzmocnić własną pozycję w przetargach o podział łupów z „wielkim mistrzem“ zdrady i prowokacji — Zarembe wiązał się coraz ściślej z WiN-em i amerykańskimi ośrodkami wywiadowczymi, zakwaterowanymi m. in. w zachodniej Europie pod różnymi szyldami. Licytowali się obaj wzajemnie w zabiegach o względy Irvinga Browna, występującego pod firmą centrali amerykańskich związków zawodowych, czy Leona Dennenberga, jednego z namiestników Komitetu Wolnej Europy w Paryżu. Chodzili kornie w pielgrzymkach do doktora Rettingera, oddelegowanego przez brytyjską Intelligence Service do „jednoczenia“ zachodniej Europy w federację.

Ale w sumie — Białas umacniał się tylko coraz bardziej na swej pozycji dyktatora. Pozwolił Zarembe występować w charakterze przedstawiciela PPS na międzynarodowych zjazdach, wspaniałomyślnie osadził go jako głównego redaktora w „Międzynarodowym Ośrodku Wolnych Związków“ w Paryżu, który to tytuł przynosił Zarembe w latach 1950—1954 około 200 tysięcy franków miesięcznie. Ale zatrzymując dyktaturę i na tym „zawodowym“ odcinku dodał Zarembe, jako „anioła stróża“, bezwzględnie sobie oddanego konfidenta francuskiej policji politycznej, Aleksandra Skrodzkiego, który, obdarzony tytułem sekretarza generalnego Ośrodka, we właściwy sobie niezgrabny sposób pilnował, aby nic nie działo się w owym Ośrodku wbrew woli jego pana.

Z kolei rzucił Białas Zarembe następny ochłap, dając mu możliwość ciągnięcia zysków z audycji „robotniczych“, nadawanych przez polską sekcję

amerykańskiego Radia Wolnej Europy w Monachium, nazywaną Głosem Wolnej Polski.

Przy pracy w tym „głosie“ umieścił Białas grono uległych sobie członków partii, zapewniając sobie tym ich wierność. Jest więc w Monachium — mianowany ostatnio przez emigracyjną paryską „Kulturę“... nestorem polskiego socjalizmu — Adam Uziembło-Dworakowski, który zawsze przeciw służył temu kto za to odpowiednio zapłacił. Są i tacy, jak Michał Gamarnikow czy Włodzimierz Sznarbachowski, którzy w latach poprzednich inne mieli zdanie o polityce partii socjalistycznej. Lecz z chwilą, gdy znaleźli się w ciężkich warunkach materialnych, zjawiała się oferta Białasa. Oferta za cenę rezygnacji z głoszenia swych dotychczasowych poglądów i z krytyki, nie wspólnego z socjalizmem nie mającej polityki kierownictwa PPS z Białasem na czele.

Nic więc dziwnego, że sekcja PPS w Monachium — wyodrębniona z obowiązującego pionu organizacyjnego i podporządkowana bezpośrednio Centralnemu Komitetowi Zagranicznemu w Londynie — jest najlojalniejszą wobec kierownictwa PPS, a szczególnie jej członkowie, którzy wszyscy są pracownikami Radia Wolnej Europy, posłusznie płacą daninę; za tę daninę Zarembe wydaje w Paryżu swe własne pismo pod nazwą „Światło“.

Wszystkim tym ludziom pracującym w monachijskim radio nie wolno, w redagowanych i nadawanych przez nich audycjach, słowem pisnąć w tak ważnej dla Polski sprawie jak granica na Odrze i Nysie. Nie wolno również w audycjach, zwanych „robotniczymi“, używać słowa „socjalizm“. Nic w tym dziwnego, płaci bowiem

amerykański protektor, a „socjaliści“ są posłuszni, bo przecież dolarów nie znajduje się na ulicy.

Białas nie cofa się przed żadnymi brudnymi metodami, które mogą przyczynić się do utrzymania jego dyktatury w partii na emigracji. Przekupstwo, oszczerstwo, pozbawianie pracy opornych — to środki, które zapewniają mu całkowite kierownictwo emigracyjną PPS. O przebiegu likwidowania przez Białasa opozycji partyjnej przeciw jego polityce — będzie mowa na dalszych kartkach. Tutaj wspomnę tylko, że używając oszczerczej broni skierowanej przeciwko swym przeciwnikom, których pragnie skompromitować, robi to w ten sposób, aby nigdy nie być osobiście przyłapanym na gorącym uczynku i zmuszonym do poniesienia konsekwencji. Rozpuszcza pogłoski i urabia opinię przeciwnikom przez podporządkowanych i wysługujących mu się za materialne korzyści ludzi. Nikogo z tych, którzy nie zgadzali się, chociażby w pewnym tylko okresie, z polityką Białasa — nie minęła okazja przekonania się na własnej skórze o tej metodzie fabrykanta brudnych plotek i oszczerstw.

Atmosferę, która wytwarza się w takich warunkach „politycznego działania“, dokładnie chyba zobrazuje wyjątek z zamieszczonego w „Robotniku“ z lutego 1953 r., a podpisanego inicjałami J.B., listu do redakcji:

„Wśród emigracji polskiej we Francji daje się odczuć niepokojący objaw urabiania opinii o działaczach metodą oszczerstw. Jest to działanie na krótką metę niezawodne: zaatakowany przeważnie nie posiada środków, albo energii, aby się obronić i często zniechęcony wycofuje się z pracy społecznej.

Do niedawna tego rodzaju akcja odbywała się za pomocą tu i ówdzie rzucanych umiejętnie pomysłów, „życzliwych“ ubolewań i półsłówek, które podawane z ust do ust narastały, pęczniały, defigurując prawdziwe oblicze skazanego na „wykończenie“, bo niewygodnego działacza.

Odbywała się ta operacja, wiadomo, zawsze w imię obrony moralności publicznej i zawsze ze szlachetnych pobudek.

Autorów plotek nikt nie piętnował, choć wszyscy zdawali sobie sprawę w jakim celu są one propagowane. Zresztą każdy człowiek, ku rozrywce i ucieście własnej, chętnie „nowinek“ słucha. Więc w tych warunkach plotka na terenie emigracji polskiej we Francji przybierała na rozmiarach bezkarnie...“...

Pan Białas jest arcymistrzem tej metody. Równocześnie nie gardzi zasadą „divide et impera“. Jeżeli w danym momencie, wśród opozycyjnie nastawionych do jego zamierzeń czy wystąpień, znajduje się choćby jeden członek partii inteligent — Białas w demagogiczny sposób usiłuje przeciwstawić się stanowisku opozycjonistów jako „jedyne prawdziwy proletariusz“. Tak było n.p. w czasie zebrania Zarządu Głównego PPS we Francji, w styczniu 1949 r., gdy chcąc zapewnić większość głosów dla swoich wniosków, schlebiał on, zwłaszcza tym członkom Zarządu, którzy pracują jako górnicy w północnych zagłębiach węglowych Francji. Twierdził, iż ich zdanie jest najważniejsze ze względu na to, że są robotnikami, powoływał się na swe robotnicze pochodzenie i opowiadał, że do 17-go roku życia był analfabeta. Po zebraniu jednak, podejmując obecnych lampką wina, wyraził o nich zupełnie odmienną

opinię, mówiąc do kilku najbliższych siedzących towarzyszy: „ależ to straszne chamy, ci z Północy“.

Tutaj odsłonił Białas swój właściwy stosunek do klasy robotniczej. Oczywiście Białasowi najbliżsi są oficerowie „dwójki“ w rodzaju Maciołka, Rolewicza czy Kraczkiewicza, w których towarzystwie czuje się najlepiej. „Chamy“ potrzebni są Białasowi do zapewnienia mu większości głosów na pepesowskich zebraniach, do wybierania go na stanowiska, których piastowanie daje możliwość naciągania obcych wywiadów na dolarowe dotacje. Ten „przywódca“ klasy robotniczej wtenczas odwołuje się do robotników, gdy orientuje się, że przeciw jego zdradzieckiemu postępowaniu powstają opory ze strony uczciwych członków partii, którzy widzą jego zakłamanie i nicość.

Ta „elastyczność“ pozwala Białasowi sprowadzić na kurs, urządzony rzekomo dla działaczy związków zawodowych w Anglii w 1952 r., w charakterze wykładowców: gen. Pełczyńskiego — przedwojennego sanacyjnego szefa drugiego oddziału, płk. Rolewicza — jednego z szefów WIN-u, i trzeciego dwójkarza, mjr. Kraczkiewicza, a równocześnie w czasie zebrania partyjnego w tej czy innej kolonii górniczej we Francji, wtrącać w swych przemówieniach zdania o rzekomej nieufności do polityki generałów i „walki z ich dyktaturą“. Ta elastyczność pozwala, również w chwili, gdy już jawnie podporządkował Białas emigracyjną PPS komendzie Sosnkowskiego i Andersa, na próby wmówienia robotnikom za pomocą swych podkomendnych działaczy, że Sosnkowski to „bliski człowiek PPS“ — omal że „socjalista“. Oczywiście na miarę Białasa czy Bieleckiego.

Z równą elastycznością balansuje na emigracji „nieprzywiązujący wagi do formułek“ — jak sam to określa — Zygmunt Zaremba. Więc inną formułą stosuje się w czasie wizyty w Paryżu dygnitarza Komitetu Wolnej Europy — a inną na zjeździe PPS. W pierwszym wypadku deklaruje się razem z Białasem — jak to działo się w czerwcu 1953 r., że „robotnicy w Polsce nie są czerwoni“ i że się w obecności szeregu osób — „my stąd, z Paryża, kierujemy ruchem podziemnym w Polsce“ — aby wyżebrać znów jakąś sumę od naiwnego „słonia“ — zbawcy Europy. A na zjeździe partyjnym zakrzyknie się gromko: „nie zacierajmy linii klasowej, towarzysze!“ (styczeń 1952 r.). I na dowód „szczerości“ tych słów — zaprasza się generała Kazimierza Sosnkowskiego... na posiedzenie Centralnego Komitetu Zagranicznego Polskiej Partii Socjalistycznej (styczeń 1953 r.), „meldując mu się posłusznie do dyspozycji“.

Zgłasza się i uchwała rezolucję, że:

„...na drodze do zjednoczenia politycznego emigracji, PPS osiągnęła nowy etap, ustalając na terenie Rady Politycznej współpracę stronnictw w zakresie wspólnych zadań i restytuując w ten sposób podstawową zasadę demokratyczną oparcia reprezentacji narodowej na zorganizowanych partiach politycznych“ (II Zjazd PPS — Lens, styczeń 1952 r.)

Jednocześnie wie się dobrze, że wcale nie chodziło ani o „demokrację“, ani o „narodową reprezentację“ — lecz jedyną „podstawową zasadą“ Rady Politycznej było wyciągnięcie dla siebie dolarów na „handlu śmiercią“, uprawianego właśnie

w owym czasie m. in. poprzez placówkę w Bergu. Deklaruje się w rezolucji zjazdowej, że PPS „przeciwstawia się nadużywaniu symbolów walki zbrojnej i obowiązków żołnierskich dla celów osobistych lub rozgrywek wewnętrzno-politycznych“ (Lens, styczeń 1952 r.) — a maszeruje się kilka miesięcy później za generałem Sosnkowskim pod chorągiew gen. Andersa — „generalnego inspektora“ nie istniejących sił zbrojnych, honorowego prezesa i dyktatora emigracyjnego związku generałów.

Lecz jakżeż wymagać konsekwencji w postępowaniu od Białasa i Zaremby, z których pierwszy jest głównym reżyserem wszelkich partyjnych zjazdów, a drugi — autorem rezolucji i uchwał. Są oni „elastyczni“ w swej polityce, „nie przywiązują wagi do formułek“. Są konsekwentni w jednym: w zdradzaniu klasy robotniczej, w wyścigu do kas obcych wywiadów. I w tym marszu, dorabiając koślawe, kłamliwe uzasadnienia ideologiczne do każdego kolejnego manewru — poprowadzili i innych w grzędawisko emigracyjnej polityki.

„DEMOKRACJA“ W EMIGRACYJNEJ PPS WALKA ZDRADZIECKIEJ KLIKI Z UCZCIWYMI SOCJALISTAMI

Po przybyciu na emigrację byłem przekonany, że istniejąca tam organizacja PPS jest partią, której praktyczna działalność jest w zgodzie z socjalistycznym programem i celami. Byłem przekonany, że emigracyjna PPS nie da się wpręgnąć w rydwan sił reakcyjnych, że przywódcy jej zdołają się na samodzielną politykę, zdecydowanie

odbiegającą od polityki faszystowskich grup emigracyjnych. Nie dopuszczałem w ogóle możliwości, aby przywódcy socjalistycznej partii potrafili zaprzedać się podżegaczom wojennym, gorącym zwolennikom interwencji przeciwko wszelkim siłom rewolucyjnym, w jakimkolwiek punkcie globu ziemskiego te siły dochodzą do głosu.

Byłem przekonany, że „Robotnik“ wyraża poglądy kierownictwa partyjnego, gdy w numerze grudniowym 1946 r. artykuł wstępny tego pisma głosił, że:

„Przeciwni jesteśmy interwencjom zmierzającym do odbudowy obszarnictwa i kapitalistycznego wyzysku; przeciwni jesteśmy interwencjom podżegaczy wojennych; przeciwni jesteśmy włączaniu sprawy polskiej do antysowieckich schematów; przeciwni jesteśmy interwencji sił reakcyjnych, antydemokratycznych, przeciwpostępowych. Nie o Polsce myślą, gdy biorą jej imię na swe usta“.

A tymczasem? Któremuż to z tych punktów byli przeciwni, przez lata ubiegłe i są przeciwni dzisiaj, przywódcy emigracyjnej PPS? Swym działaniem dali dowód, że stawiają na nową wojnę światową, że wpręgnęli się w rydwan sił antyrewolucyjnych, jako zwykli agenci obcego wywiadu i za ochłapy rzucane za „handel śmiercią“ wysługują się tym, którzy „nie o Polsce myślą, gdy biorą jej imię na swe usta“.

Chwila, w której zrozumiałem czym właściwie jest organizacja emigracyjna PPS, była dla mnie tragicznym przeżyciem. Nie załamane się jednak. Znalazłem w sobie dość siły, aby razem z innymi

uczciwymi pepesowcami, pomimo olbrzymich trudności — walczyć o to, by zapobiec dalszemu staczaniu się emigracyjnej PPS w otchłań przymierza z wszelkimi reakcyjnymi i mafijnymi elementami t.zw. emigracji politycznej, by zapobiec wysługiwaniu się Białasa i Zaremby imperialistycznym wywiadam. Chodziło o to, aby dla zysku zbrodniczej kliky nie płacili ludzie powiązani w przeszłości organizacyjnie z PPS, ludzie nie mający możliwości przyjrzeć się z bliska ohydnej i brudnej roli, jakiej podjęli się w służbie obcych czynników Białas, Zaremba i ich klika.

Przeciwdziałanie zbrodniczej polityce Białasa i Zaremby, przez grupę uczciwych pepesowców, skierowało na tych ostatnich, od pierwszej chwili prowadzenia opozycyjnej akcji, nienawiść obu zdrajców, którzy wszelkimi sposobami usiłowali grupę tę rozbić — a gdy to nie odniosło skutku — pozbyć się jej członków z partii.

Byłem jednym z tych, którzy organizowali zdecydowaną akcję przeciwko polityce Białasa i Zaremby. Dwóch z nas, już na początku tej akcji, zapłaciło za udział w niej utratą pracy zarobkowej. Gdy na jednym z posiedzeń CKZ PPS Henryk Polowiec, przedwojenny działacz PPS i związków zawodowych w okręgu krakowskim, głosował nie po myśli „leaderów” — został w krótkim czasie zwolniony z pracy w administracji jednego z pism emigracyjnych, którego właściciele i wydawcy nie mieli i nie mają nic wspólnego z PPS. „Tajemnica” obrad CKZ pojmowana jest więc w specjalny sposób, skoro o szczegółach głosowania na jego posiedzeniach dowiadują się sanacyjni koledzy Franciszka Białasa i Jana Kwapińskiego. Nieco później pozbawiono pracy zarobkowej Lucjana Krawca, działacza PPS z Wilna, który za wierność

socjalizmowi zapłacił, w okresie wojny, hitlerowskim więzieniem i obozem koncentracyjnym.

Gdy opozycyjna grupa partyjna sprzeciwiła się sojuszowi z endecją i podjęciu się przez Białasa i Zarembe służby w amerykańskim wywiadzie — stała się głównym celem ataków ze strony tych ludzi oraz służących im, dla takich czy innych korzyści, różnego rodzaju sprzedawczyków.

W styczniu 1952 r. Białas zorganizował II Zjazd PPS na obczyźnie, w Lens we Francji. W tym czasie w partii emigracyjnej uformowana już była wyraźna grupa opozycyjna. Grupa ta wydała z okazji zjazdu „Jednodniówkę”, precyzując w niej swoje stanowisko i rozkolportowała ją wśród członków partii. „Jednodniówka” ta, piętnująca postępowanie Białasa i Zaremby i idących za nimi pozostałych przywódców partii, stała się przysłowiową „czerwoną płachtą” dla partyjnych liderów. Mimo osobistych antagonizmów, dzielących piątkę „filarów” i mimo tego, że w rozmowach kularowych każdy z nich z osobna starał się zjednać sobie jak najwięcej zwolenników, zgodni byli oni w jednym — należy bić we wszystkich tych, którzy przeciwstawiają się sojuszom z reakcjoniastami i faszystami, przeciwstawiają się służbie obcym wywiadam.

Aby przeciwdziałać krytyce i akcji grupy opozycyjnej, Białas, starannie, przez długi czas, preparował swój „zjazd”. Usiłował za wszelką cenę uzyskać poparcie większości zjazdu, aby w ten sposób usankcjonować sojusz z reakcją emigracyjną i bergowski „handel śmiercią”. W tym celu dokonał najzwyczajniejszego fałszerstwa listy członków PPS we Francji, pomnażając ich liczbę o 300 procent. Posłużył się w tym celu kilku skorumpowanymi, zaprzędanymi sobie osobnikami z organizacji PPS na terenie Francji. Byli to: Wincenty Jaśnie-

wicz, Aleksander Skrodzki i Jan Dudała. Specjalną gorliwość w tych zabiegach okazali dwaj pierwsi. Nic w tym dziwnego. Jaśniewicz jest osobnikiem bez charakteru, który służył kolejno różnym emigracyjnym „wodzom”. Najpierw „wodzem” był dla niego sanacyjny dyplomata Kawalkowski, na którego cześć Jaśniewicz pisywał nawet wiersze, z refrenem zaczynającym się od słów „Prowadź nas Justynie”. Gdy łaska „ministra pełnomocnego” Kawalkowskiego odwróciła się w inną stronę, Jaśniewicz poszedł w białasowską służbę. Za tytuły prezesowskie, za łaskawe pochwały przy kieliszku, no i... za miesięczną dotację i drobne prezenty w rodzaju motocykla — gotów jest do najbrudniejszej roboty na rzecz swego patrona. Skrodzki, konfident policji francuskiej, sprzedał się Białasowi nieco drożej. Od siedmiu lat jest on z łaski Białasa dygnitarzem „Międzynarodowego Ośrodka Wolnych Związkowców” w Paryżu, co oczywiście wiąże się z pełnieniem w tym Ośrodku roli oddanego zauszniaka i szpiega w jednej osobie oraz — co dla owego „działacza” ważniejsze — z uczestnictwem w podziale łupów, uzyskanych przez grono „wolnych związkowców” w amerykańskich instytucjach dywersyjno-szpiegowskich.

Dokonując wspomnianego fałszerstwa, Białas uzyskał odpowiednią ilość „delegatów” na zjazd, którzy, zawdzięczając swą obecność temu fałszerstwu i mając obiecane miejsca w Centralnej Radzie Partyjnej — podjęli się w swych przemówieniach atakować opozycję i głosować według rozkazów białasowskich „podoficerów” — Jaśniewicza i Skrodzkiego.

Wspomnieć tutaj również należy, że „podbiałasek” Jaśniewicz usiłował, na rozkaz swego mistrza, wpłynąć w prymitywny, nieudolny sposób na wybór delegata przez sekcję PPS w Paryżu, znaną

ze swego opozycyjnego stosunku wobec zdradzieckiej polityki kierownictwa partii. Nie ulegało wątpliwości, że delegatem tej sekcji zostanie wybrany opozycjonista, gdyż zwolennicy polityki Białasa stanowili w niej znikomą mniejszość. Jaśniewicz próbował więc pozbawić opozycję jednego głosu na zjeździe, a równocześnie zapewnić Białasowi jeszcze jednego zwolennika. Ponieważ Białas orzekł, iż poszczególnym organizacjom lokalnym przysługuje 1 delegat na 100 członków, a sekcja w Paryżu tyłu członków w tym czasie nie liczyła, Jaśniewicz, jako przewodniczący zarządu partii we Francji, oświadczył, że może doliczyć brakującą liczbę członków z jednej z sekcji partyjnych na północy Francji (a w rzeczywistości z owej „rezerwy” stworzonej przez sfalszowanie listy członków) pod warunkiem, że on sam wskaże osobę godną mandatu delegata. Oczywiście propozycja „podbiałaska” została z pogardą odrzucona i sekcja PPS w Paryżu wybrała w tajnym głosowaniu swego delegata na zjazd.

Na zjazd przyjechał również i wziął w nim udział jako pełnoprawny uczestnik Kwapiński, pomimo że we wrześniu 1949 r. na zebraniu Centralnej Rady Partyjnej rzekł się ustnie i pisemnie wszystkich swych mandatów w kierownictwie partii, a w Anglii, gdzie stale mieszka, nie znalazł żadnego lokalnego koła partyjnego, które by życzyło sobie uznać go za swego delegata na zjazd. Jego zauszniak i wienny sługa Franciszek Haluch został na rozkaz Białasa „wybrany” delegatem z terenu Francji przez owych nieistniejących „dodatkowych” członków partii, spłodzonych z fałszerstwa Białasa i Jaśniewicza.

Nic więc dziwnego, że przy zastosowaniu tego rodzaju manipulacji wyborczych, II Zjazd PPS

na obczyźnie zakończył się sukcesem Białasa i Zaremby oraz wpatrzonych w kieszeń szefa pozostałych liderów partyjnych.

Zjazd był widowiskiem starannie wyreżyserowanym, z ustalonymi do odegrania rolami. „Wielki mistrz“ Białas interweniował jedynie w najważniejszych momentach lub siedząc w pierwszym rzędzie krzeseł, lekkim odwróceniem głowy dawał znak swej „gwardii“, by protestowała przeciwko wypowiedziom opozycyjnych mówców. Na tę komendę rozlegały się okrzyki, wrzaski i wycia gromady przekupnych typów sprowadzonych na zjazd, w charakterze delegatów, w tym właśnie celu. Ten nastrój miał zagłuszyć wypowiedzi uczciwych pepesowców i wytworzyć wokół nich atmosferę nierozumnych buntowników, przeciwstawiających się tego rodzaju opatrnościowym filarom jak Białas, Zaremba, Arciszewski i Ciołkosz. Ten ostatni przyjął na siebie rolę głównego adwokata polityki Białasa, atakując agresywnie grupę opozycyjną.

Prokuratorski zapal oskarżyciela opozycji partyjnej i gorącego obrońcy sojuszu z endeckimi pałkarzami i rasistami oraz związanego z tym nierozłącznie „handlu śmiercią“ — ostudził nieco u Ciołkosza wynik głosowania do Centralnej Rady Partyjnej. Białas bowiem, pomny dawnych utarczek, chciał dać do poznania Ciołkoszowi jego zależność od siebie i w tym celu polecił, pewnej części uległych sobie delegatów, skreślić jego nazwisko z listy przygotowanej do głosowania. Otrzymałszy znacznie mniej głosów od pozostałych przywódców, Ciołkosz obraził się i przez jakiś czas udawał „umiankowanego“ opozycjonistę. W największej jednak zgodzie powędrował razem z pozostałymi „filarami“ do emigracyjnego Ozonu

— TRJN, jako reprezentant sektora „robotniczego“. Ten emigracyjny Ozon ma bowiem również swój sektor „robotniczy“.

Oczywiście, w opisanych wyżej warunkach, grupa opozycyjnych pepesowców nie miała żadnych szans na spowodowanie zmiany polityki partyjnej. Przy tak „demokratycznym“ podziale mandatów na zjazd — Białas i jego klika odnieśli zwycięstwo.

Zjazd usankcjonował sojusz z endecją, aprobując tym samym szpiegowską robotę Białasa i Zaremby w amerykańskim wywiadzie, w towarzystwie Bieleckiego i Sojki, Rowmunda Piłsudskiego i Zeńczykowskiego. Bergowscy „handlarze śmierci“ byli zadowoleni.

Zadowolony był również kto inny. W prawym rogu sali, na honorowym miejscu, dyskretnie przysłuchiwał się bowiem obradom zjazdu pełnomocnik dywersyjnej organizacji amerykańskiej „Free Europe Committee“ (Komitet Wolnej Europy) — Leon Dennenberg, słabo, ale jednak mówiący po polsku. Jeśli by ktoś szukał symbolu dla określenia w czym interesie odbywa się zjazd, obecność Dennenberga mogłaby posłużyć jako nie pozostawiająca wątpliwości ilustracja. „Pan Leon“, jak go nazywają Białas i Zaremba, siedział spokojnie, chociaż z zainteresowaniem przysłuchiwał się wypowiedziom opozycjonistów. Nie wyprwadzały go jednak one z równowagi, tak jak „liderów“ PPS. Wiedział, że pieniądze wpłacone przez jego ręce polskiemu „towarzyszowi“ Białasowi z funduszu specjalnego na urządzenie zjazdu są wystarczającą podniecią do tego, aby dołożyć wszelkich starań dla przeprowadzenia uchwał w myśl wytycznych amerykańskiego wywiadu. Dennenberg znał Białasa dostatecznie dobrze, aby

być pewnym solidnego wykonania roboty. Jako Amerykanin wiedział, że za dobre pieniądze należy się dobra robota.

Przypominam te szczegóły ze stycznia 1952 r. dlatego, że była to pokazowa lekcja praktycznego stosowania demokracji przez ludzi, którzy w artykułach prasowych, w audycjach radiowych, w przemówieniach wygłaszanych przy różnych okazjach, stale powtarzają słowo „demokracja” i odmieniają je we wszystkich przypadkach.

Wodzowie wygrali więc zjazdową batalię. Sformowana wspomnianymi metodami „większość” zjazdu nie dostrzegła nawet takiej „drobnej” sprzeczności, że sankcjonując sojusz kierownictwa partii z endeckimi faszystami, nie można tuż w następnym punkcie zjazdowej rezolucji politycznej stwierdzać, że właśnie w ten sposób urzeczywistnia się „zagradzanie drogi dla jakichkolwiek prób narzucania krajowi reakcji społecznej i politycznej przez czynniki emigracyjne” (Robotnik, nr. 1, styczeń 1952 r.). Jak widać, nauka „elastyczności” i „nieprzywiązywania wagi do formułek”, wpajana przez szefów swym waletom, pojęta została również w sposób właściwy przez sprowadzonych na salę — w drodze sfalszowania listy członków-delegatów. Tę jednomyślność większości w aprobachie współpracy z faszystami i rasistami oraz „handlu śmiercią” nazwał niezrównany „ideolog” białasowskich brudów, Zygmunt Zarembo w swym „Świetle” — „doskonałym wyrazem siły ideowego trzonu partii” (Światło nr. 1, marzec 1952 r.).

„Ideowy trzon partii” wyjechał więc zadowolony z wyników zjazdu, mogąc dalej oddawać się dziełu skupiania elementów reakcyjnych w zjednoczonym ośrodku i kontynuowania w sklepiku bergowskim

szpiegowskiego procederu. Najgorliwsi rzecznicy polityki Białasa w czasie zjazdu — oprócz supergorliwego Adama Ciołkosza, o czym już była mowa — czuli się również wystarczająco usatysfakcjonowani mandatami członków kierowniczych ciał partyjnych.

Opozycja partyjna, natomiast, postanowiła wydawać swe własne pismo, mające przeciwstawić się zgubnej polityce Białasa i Zaremby i związanej z nimi kliką. Pismo to, pod nazwą „Równość”, wydawane ze składek członków opozycji, stało się z miejsca przedmiotem ataków ze strony Białasa i Zaremby. Na zjeździe Centralnej Rady Partyjnej w listopadzie 1952 r., w Montrouge koło Paryża, przypomnieli sobie oni o istnieniu uchwalonego w Radomiu w 1937 r., statutu partyjnego, który sami na każdym kroku, gdy tylko im to w działalności było potrzebne, łamali i powołując się na jeden z jego punktów przeprowadzili uchwalenie rezolucji, którą nazwaliśmy „żółtą”. Uchwalała ta, zabraniając członkom partii pisania artykułów do jakichkolwiek pism niepartyjnych bez zezwolenia kierownictwa partii, potępiała naszą działalność i domagała się od nas deklaracji, iż zaprzestaniemy naszej akcji wydawniczej. Należy zaznaczyć, że przywódcy PPS, o ile chodzi o zamieszczenie artykułów w prasie niepartyjnej byli tak pedantycznie skrupulatni jedynie w stosunku do nas, wydających za własne pieniądze, socjalistyczne pismo i walczących w nim o zawrócenie emigracyjnej PPS z drogi współpracy z reakcją i faszyzmem. Niektórzy z nich natomiast i wcześniej i później — oczywiście za zapłatą — zamieszczali artykuły we wszystkich reakcyjnych polskich i — o ile tylko te zechciały — cudzoziemskich pismach.

Równocześnie uchwała brała niedwuznacznie w obronę Białasa, co do którego osoby coraz więcej członków partii nie miało już żadnych wątpliwości, że jest zwykłym agentem amerykańskiego wywiadu. Zaremba stwierdził w dwa miesiące później na zebraniu partyjnym sekcji w Paryżu, że „dumny jest z tego, iż jest autorem tej rezolucji“. Nic w tym dziwnego. Będąc całkowicie podporządkowany Białasowi, Zaremba i w tym wypadku musiał podnieść swój głos w obronie swego pana.

Nikt z nas, członków opozycji partyjnej, zgromadzonych wokół pisma „Równość“ nie złożył oczywiście żądanej od nas deklaracji. Ataki na nas przybrały wówczas na sile. Po kompromitacji bergowskiej i po przejściu kierownictwa PPS pod komendę Sosnkowskiego i Andersa — Zaremba w styczniu 1953 r., w Paryżu, na zebraniu sekcji, która była głównym ośrodkiem opozycyjnym we Francji, zapłonął „świętym oburzeniem“ na opozycjonistów, bo widział swoją bezsilność wobec naszej akcji. W szeregu uchwał, które zawsze uzyskiwały większość w głosowaniu na zebraniach sekcyjnych, oddawna domagaliśmy się bowiem zerwania z polityką sojuszu z reakcyjnymi elementami i wysługiwania się obcym wywiadowi, wskazując m.in. na zbrodniczość wpychania w podziemną działalność ludzi, przebywających w kraju. Zaremba uznał za stosowne nazwać nas, za to postępowanie, „szkodnikami i wrogami PPS“ i „ludźmi wypranymi zupełnie z pepesowskiego ducha“ oraz wzywał nas do opuszczenia partii. Będąc sam zdrajcą socjalizmu, próbował ułatwić sobie w ten sposób usunięcie z organizacji partyjnej tych, którzy pozostali uczciwi i postępują zgodnie ze swymi socjalistycznymi przekonaniem.

Równocześnie Zaremba usiłował przekonać zebranych, że Sosnkowski nigdy nie był sanatorem i że sojusz PPS z endecją i sanacją jest w całkowitej zgodzie z założeniami programowymi partii. W odpowiedzi na zarzuty odnośnie afery Bergu, Zaremba oświadczył wówczas, że „dotarcie jego wysłannika do Romana Garlickiego jest dowodem sprawności działania“. Nie raczył wyjaśnić tylko w czym to interesie „działano“ w Bergu.

Nie skorzystaliśmy z łaskawej propozycji pana Zaremby i nie opuściliśmy jeszcze wówczas partii. Kontynuowaliśmy działalność opozycyjną w ramach organizacji partyjnej. Usiłowano zgnieść opozycję różnymi metodami. Intrygandkimi podszeptami w środowisku francuskim „zmięczono“ starego działacza partyjnego i związkowego Stefana Jesionowskiego, który w obawie o utratę pracy, na stare lata, załamał się i stał się powolnym narzędziem Białasa i Zaremby, dopomagając im w akcji przeciwko opozycji partyjnej. Białas usiłował zjednać sobie niektórych opornych propozycjami umieszczenia ich na dobrych posadach w Radio Wolnej Europy w Monachium — które to propozycje zostały odrzucone ze wzdrganiem. Wysłannik Białasa, Skrodzki, odchodził za każdym razem z niczym. Gdy ta metoda okazała się zawodna, próbowano złamać niektórych z nas zwolnieniem z pracy. Tak postąpiono z działaczem partyjnym na terenie Francji i Belgii, Leszkiem Talko oraz ze mną.

Te wszystkie poczynania nie dawały jednak pożądanego dla Białasa wyniku. Coraz więcej uczciwych socjalistów, członków partii, zaczynało dostrzegać, że polityka kierownictwa PPS nie ma nic wspólnego z interesami klasy robotniczej i domagało się porzucenia polityki sojuszu z reakcją.

Narastało niezadowolenie we wszystkich ośrodkach PPS na emigracji.

Zjazd partyjny w Lens, w styczniu 1952 r., zakończył się zwycięstwem Białasa na skutek oszustwa i fałszerstwa. Nie udało się jednak jeszcze wówczas zapobiec temu, aby wzięli w nim udział delegaci z opozycji partyjnej, wybrani demokratycznie przez mających do nich zaufanie towarzyszy, i żeby ci delegaci w swych przemówieniach nie demaskowali prawdziwego oblicza sprzedajnego kierownictwa. Białas i Zaremba postanowili więc za wszelką cenę pozbyć się z partii niewygodnych dla siebie działaczy.

Gdy zawiodły wszelkie inne metody złamania lub rozproszenia opozycji, Białas i Zaremba, na szereg miesięcy przed III zjazdem PPS, który odbył się w Calais we Francji z końcem czerwca 1955 r. — postanowili ostatecznie rozprawić się z opozycją.

W kwietniu 1954 r. zawieszono Henryka Polowca, członka CKZ, w prawach członka partii i postanowiono oddać go pod sąd organizacyjny z wnioskiem o wydalenie z partii. Jako pretekst do tego kroku posłużył bergowskim „socjalistom” fakt napisania przez Polowca listu, w obronie własnej, do redakcji jednego z emigracyjnych pism. Polowiec wystąpił wówczas z partii sam i opublikował broszurę pt. „Przeciw zdradzie socjalizmu i demokracji”, w której umotywował swoje stanowisko i powody walki przeciwko bergowcom.

Gdy z kolei ukazał się następny numer opozycyjnej „Równości”, w którym w sposób zdecydowany przedstawiona została całkowita zdrada przez kierownictwo partii z Białasem na czele — postanowiono ostatecznie pozbyć się nas z partii.

W styczniu 1955 r., na plenarnym posiedzeniu Centralnego Komitetu Zagranicznego PPS, zapadła uchwała, na mocy której wykluczony został z partii Lucjan Krawiec, a zawieszeni zostali w prawach członkowskich z przekazaniem sprawy do ostatecznej decyzji III zjazdowi PPS w Calais: Waclaw Goldman, Maksymilian Gomóliński, Zbigniew Słupnicki i Janusz Zawadzki z terenu Anglii oraz Leszek Florczyk, Bronisław Kruk i Leszek Talko z terenu Francji.

W ten sposób CKZ usiłował zapobiec narastającym oporom przeciw jego polityce, pozbywając się z partii najaktywniejszych działaczy opozycyjnych.

Oczywiście nie czekaliśmy na żaden zjazd ani na jego „decyzje”. Ogłosiliśmy 24 lutego 1955 r. list otwarty do członków partii. W liście tym przedstawiliśmy motywy naszego opozycyjnego postępowania, dawaliśmy wyraz naszej solidarności z wykluczonym towarzyszem i oświadczaliśmy, że z organizacji PPS na emigracji występujemy.

Za naszym przykładem poszło wielu uczciwych towarzyszy, występując z partii. Nie chcieli oni mieć nic wspólnego z organizacją kierowaną przez ludzi, którzy stoczyli się na drogę kompletnej zdrady socjalizmu, klasy robotniczej i Polski.

T.zw. III zjazd PPS na obczyźnie, urządzony z końcem czerwca 1955 r., był już tylko zwykłą formalnością. Drobnym urozmaiceniem zjazdu był zatarg w „rodzinie wodzów” — bynajmniej nie ze względu na różnice programowe czy ideologiczne. Chodziło o pewne „przeszeregowanie” kolejności wewnętrznej w czwórce filarów, podporządkowanych dyktatorowi Białasowi. Przywódcy, pozbywający się opozycji, udowodnili, że tylko w walce przeciwko tym, którzy szczerze pojmują głoszone przez siebie socjalistyczne zasady — potrafią być solidarni.

Istnienie opozycji było jedynym łącznikiem, który zjednoczył Białasa i Zarembę z Arciszewskim, Ciołkosza z Kwapińskim. Gdy pozbyli się z partii ludzi wiernych socjalistycznym przekonaniom, nie godzących się na oddawanie partii w arendę Andersowi, Bieleckiemu i amerykańskiemu wywiadowi — zagrały stare niechęci, filary przypomniły sobie o dawnych wzajemnych zatargach osobistych i zawiściach pomiędzy sobą.

Był też drugi maleńki zgrzyt w dobranym gronie, potwierdzający, że „zaraza“ zwątpienia w genialność liderów zatacza coraz szersze kręgi. A mianowicie, jak informuje w artykule pt. „Zjazd bergowych kombatantów“, „Tygodnik“ — organ grupy zamkowej p. Zaleskiego, w Nr 29, z dnia 17 lipca 1955 r.:

„Jeden z członków Centralnej Komisji Rewizyjnej na posiedzeniu tejże sprzeciwił się zgłoszeniu na zjeździe wniosku o udzielenie absolutionarium ustępującym władzom, motywując to tym, iż p. F. Białas, sekretarz CKZ, nie wyliczył się z otrzymanych funduszy na bergowe przedsiębiorstwo handlu śmiercią, którego współwłaścicielem był CKZ PPS. Ten sam członek Komisji Rewizyjnej domagał się na próżno, by przewodniczący CKZ p. Jan Kwapiński zrobił rzetelny rozrachunek z tych funduszy państwowych, których nie przekazał „ośrodkowi zamkowemu“ — z braku zaufania. Otóż powszechnie jest wiadome, że zaufanie pana Jana uległo rozdzieleniu: na 80% miał zaufanie do prawowitych właścicieli i taką część depozytu oddał, pozostałe zaś 20% zatrzymał jako dowód zaufania do siebie samego“.

Białas i Kwapiński nie potrzebowali jednak przejmować się zbyt owym głosem na posiedzeniu Komisji Rewizyjnej. Przecież na sali obrad zjazdowych siedzieli wyłącznie „najwierniejsi z wiernych“. Gdyby zażądano od tego grona, aby uchwaliło, że skrót PPS oznaczać będzie od dnia zjazdu w Calais nazwę partii „Polska Partia Sanacyjna“, uchwała prawdopodobnie byłaby przyjęta jednomyślnie. I przyznać należy, że byłaby nazwą właściwszą dla stronnictwa Białasa i Zaremby.

Obradowano więc i uchwalano rezolucje zredagowane przez niezrównanego w płodzeniu formułek — do których jak wiadomo „nie przywiązuje on wagi“ — p. Zarembę, w harmonijnej zgodzie, w nadziei, że któryś z niższych funkcjonariuszy wywiadu zaatlantyckiego protektora znów spojrzy łaskawszym okiem na zjednoczonych w umizgach o jego dolarowe łaski łapsów. Cytowany już poprzednio londyński „Tygodnik“ zaznacza bowiem, że na zjeździe w Calais:

„...cieszył się ogólnym wzięciem i powodzeniem p. Otto Pehr, znany na obu półkółkach „stypendysta“ Free Europe Committee, którego ta zacna instytucja wysyła na wszelakie zjazdy PPS, tak że nawet powstało słuszne przypuszczenie, że to sam Komitet Wolnej Europy zapisał się na członka PPS“.

Mając więc wśród siebie na sali „stypendystę“ tak zacnej instytucji i to akredytowanego bezpośrednio w Nowym Jorku, uchwalono „legalnie“ wszystko, czego zażądali p.p. Białas i Zaremba i rozjechano się do domów, aby „pracować“ nadal nad „wzmocnieniem i rozbudowaniem legalizmu“ w „legalnym państwie na uchodźstwie“.

DLACZEGO POWRÓCIŁEM

Pokazałem w poprzednich rozdziałach przekrój emigracyjnej PPS: jej szczyty zakłamate i zdradzieckie oraz uczciwych działaczy, walczących przeciwko polityce tych szczytów. Pokazałem jednostki bez charakteru, słabe, dające się przekupić lub złamać, gdy znalazły się w ciężkiej sytuacji wynikłej z emigracyjnego życia. Pokazałem również szeregi szczerych, przywiązanych do tradycji partyjnej członków, którzy dotąd nie zdają sobie sprawy ze zbrodniczości postępowania Białasa i Zaremby.

Starłem się podać w sposób chronologiczny proces spychania emigracyjnej partii przez jej kierownictwo, na drogę kompletnego rozbratu z socjalizmem.

Przytoczyłem fakty i okoliczności, które zdecydowały o pobudkach ich postępowania.

Fakty, które podałem, oskarżają.

Stwierdzenie, że organizacja, w ramach której walczyło się przez lata całe, poprowadzona została przez swe kierownictwo na drogę zdrady klasy robotniczej i że nazwa jej sprzedawana jest obcemu wywiadowi, jest wstrząsającym do głębi przeżyciem. Aby móc teraz pisać z krytycznym spojrzeniem obserwatora o upadku emigracyjnej PPS — trzeba było wiele rzeczy doświadczyć i wiele przemyśleć. Przez lata całe będąc członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej — nie byłem nigdy biernym obserwatorem, lecz zawsze aktywnym jej działaczem. Czerwony sztandar z trzema literami PPS był dla mnie zawsze symbolem zmagania polskiej klasy robotniczej w jej walce o ustrój socjalistyczny. Dlatego szedłem za nim konsekwentnie, wiążąc swój

osobisty los nierozdzielnie z działalnością, walką i losem partii.

W chwili, gdy stwierdziłem, że ci, którzy stanęli na czele partii, odeszli od socjalistycznego programu i od zasad socjalistycznych — wyciągnąłem z tego konsekwencje.

Pozostał bowiem tylko sztyld. Gdzieś tam czasem, na jakiejś świątecznej akademii lub obchodzie, Białas czy Zaremba wspominają o czerwonym sztandarze PPS. Ale własną podłością sami go podeptali i zniszczyli. Na legendzie przeszłych pokoleń socjalistycznych robotników usiłowali budować przez lata swoją własną „legendę“. Wspominając o Okrzejach i Baronach, wypinali własną pierś, żądając holdów dla siebie. Ale dzisiaj na obchodach pierwszomajowych na emigracji, na honorowych miejscach zasiadają Dennenbergi i Rolewicze, na zebraniach urządzanych przez emigracyjną PPS przemawiają: endek Zbigniew Stypułkowski i generał Tadeusz Bór-Komorowski. Na manifestacji, urządzonej w 60-tą rocznicę założenia partii w Montrouge pod Paryżem, Zaremba witał obecnych na sali przywódców Stronnictwa Narodowego jako „reprezentantów zaprzyjaźnionej, bratniej partii“.

To tylko zewnętrzne odbicie pewnych zjawisk. A ważniejsze jest to, co robi się w tajemnicy przed członkami partii: umowy z wywiadem obcego państwa i konsekwencje tych umów.

Wziąwszy rozbrat z socjalizmem, Białas i Zaremba wylądowali w poczekalniach Jacksonów i Brownów, Dennenbergów i Rettingerów. Wprowadzili PPS w bagno emigracyjnej polityki, której właściwy obraz daje reakcyjny londyński „Tygodnik“, pisząc dnia 26 czerwca 1955 r.:

„Nasze życie publiczne zostało sprowadzone przez tego rodzaju „wodzów“ do stanu jakiejś dżungli, jakichś swoistych dzikich pól, po których harują watahy rozwydrzonych mołojców, nie liczących się z nikim i z niczym poza własnym widzimisię“.

Na zabawy w emigracyjne „legalizmy“ czy „neolegalizmy“, na rządy czy rady — można spojrzeć i potraktować je jako zabawny wodewil, grany przez nieudolnych amatorów. Ale nie można potraktować jako szopki tego, czego symbolem stał się Berg. Z tym należy walczyć, ludzi, którzy służą obcym wywiadam, należy demaskować. Uważam, że obowiązkiem każdego uczciwego Polaka, bez względu na to gdzie przebywa — w kraju czy na emigracji — bez względu na przekonania polityczne w przeszłości, musi być piętnowanie osobników, którzy przeszli na żołd obcych wywiadów, dążenie do wyizolowania ich ze wszelkich środowisk polskich. Agenci obcych wywiadów, cyniczni amatorzy zysków za cenę nieszczęść i krwi — winni się poczuć całkowicie osamotnieni. Obce czynniki zaś, które wierzą ich bajkom o rzekomych wpływach w społeczeństwie polskim — może zrozumieją wreszcie, że miały do czynienia nie z politykami, a nawet nie z agentami zdolnymi do wykonania jakiegokolwiek, choćby najbrudniejszej roboty — lecz z nieudolnymi oszustami wyłudzającymi większe czy mniejsze sumy i pakującymi je do własnych kieszeni.

Walczyłem w gronie uczciwych i ideowych towarzyszy przeciwko zbrodniczym poczynaniom Białasa i Zaremby. W piśmie, które wydawaliśmy, zdecydowanie podkreślaliśmy konieczność jasnej polskiej polityki w sprawie granicy na Odrze i Ny-

sie. Wskazywaliśmy na niebezpieczeństwo wynikające z odbudowy niemieckiego Wehrmachtu przez Amerykanów. Zdawaliśmy sobie sprawę, że wszelkie deklaracje emigracyjnych polityków w sprawie zachodniej granicy Polski są jedynie wystawą Polaków, zarówno w kraju, jak i na emigracji. Wiedzieliśmy jednak, że w rzeczywistości owi emigracyjni „zbawcy ojczyzny“ marzą o tym, aby jak najszybciej dogadać się z niemieckimi rewizjonistami.

Uczciwa nasza postawa wobec wszystkich problemów dotyczących żywotnych interesów polskich, nasz bezkompromisowy stosunek wobec reakcji i faszyzmu spowodował nienawiść do nas ze strony najemników obcego wywiadu, udających przywódców polskiej klasy robotniczej.

Znam swoich przyjaciół, którzy pozostali na emigracji. Znam ich głęboką ideowość, znam ich bezinteresowność i prawe charaktery. Zdaję sobie sprawę z tego, że mój powrót do Polski może ściągnąć na ich głowy oszczerstwa i kalumnie rzucane przez długoletnich zdrajców i agentów obcego wywiadu oraz przez wszelkiego rodzaju małe „pieski“ karmione ochłapami z pańskiego stołu.

Ale wiem również, że postąpiłem słusznie. Wybrałem udział w budowie nowej Polski, stwierdzając bankructwo polityki kierownictwa emigracyjnej PPS.

A socjalizm to nie sojusz z Andersem i Bieleckim, to nie służba w obcym wywiadzie. Socjalizm to nie tylko czerwony sztandar, ale przede wszystkim realizacja konkretnego programu, dzięki któremu całe społeczeństwo w coraz pełniejszym stopniu może zaspokajać swe potrzeby ma-

terialne i kulturalne. Ten program realizowany jest obecnie w Polsce. Realizowany jest wieloletni. Wymaga wiele pracy przy pokonywaniu trudności, przy likwidowaniu wielowiekowego zacofania Polski. Ale krok za krokiem jest przecież realizowany. Dlatego jako polski socjalista jestem tutaj w Polsce — a nie w Paryżu ani w Londynie.

I jestem przekonany, że moi przyjaciele, wcześniej czy później, odnajdą drogę do kraju. Pozostali bowiem, wbrew usiłowaniom Białasa i Zaremby, socjalistami. A po trudnym i gorzkim pobycie na emigracji zrozumiałem, że socjalizm budować można tylko tutaj w kraju, tak jak budują go w codziennym trudzie miliony Polaków.

Na emigracji pozostają rzesze uchodźców, wprowadzone w błąd i oszukiwane od lat przez emigracyjnych wodzów. W przeciwieństwie do wodzów, co to „ani sieją ani nie orzą“, a jakoś żyją i to nieźle — emigracyjne rzesze wegetują w warunkach bardzo trudnej codziennej walki o byt na obcej ziemi, a czasem — jak to się dzieje w dyplo-matycznych obozach w zachodnich Niemczech — w skrajnej nędzy. Ci ludzie tęsknią za Polską i za pozostawionymi w kraju rodzinami.

Cóż łączy naszych pracujących emigrantów — górników, robotników przemysłowych i rolnych, i inteligentów — z ludźmi, którzy przez fakt podjęcia się dywersyjnej roboty przeciwko Polsce, w służbie obcego wywiadu, zerwali wszelkie nici z polskością?

Cóż łączy górników z Francji, Belgii czy Wielkiej Brytanii z chciwymi na zyski nierobami, laszczącymi się służalczo wobec funkcjonariuszy

obcego wywiadu i obiecującymi im za dolarowe subwencje zorganizowanie nowych siatek szpiegowskich w Polsce?

Nic.

Emigracyjni wodzowie postępowaniem swym, swą zdradą i przejściem na służbę obcych — oddalali się z roku na rok coraz bardziej od Polski.

W ciężkich codziennych trudach życia emigracyjnych rzesz nie zacierał się i nie zatarł obraz ojczyzny. Z docierających z kraju wiadomości, pracujący polscy emigranci dowiadują się powoli, że w kraju dokonuje się coś wielkiego; zaczynają rozumieć, że przemiany, które w kraju zachodzą, odpowiadają ich pragnieniom. Budowane są w codziennym wysiłku ich braci — robotników, chłopów i inteligentów pracujących, po to, aby ich własne życie, życie całego społeczeństwa polskiego, było coraz pełniejsze i coraz lepsze. By nigdy już nie powtórzyła się wędrówka polskich nędzarzy za chlebem do zagłębi węglowych Francji, do fabryk Westfalii czy na folwarki junkrów pruskich.

Czy pozostające do dnia dzisiejszego na emigracji polskie rzesze — robotnicy i inteligenci — mają nadal żyć i tęsknić, dlatego tylko, że tak każe Anders czy Białas, Bielecki czy Zaleski, ludzie, którzy służą obcym, chociaż polskie noszą nazwiska?

Czy też — wiedzeni patriotycznym instynktem i pomni najbliższych więzów z Polakami w kraju — powinni odnaleźć swoją drogę do Polski i tutaj dla niej pracować?

Wodzowie emigracji odeszli nie tylko od Polski, odeszli również od poczucia polskości. Dlatego, że wiązali swój los wyłącznie z Polską ziemiańskich

dworaków i folwarcznych czworaków, z Polska „Lewiatana” i armii bezrobotnych.

A czyż ci, którzy dziś znużeni trudem całodzienną pracą powracają do domów z szybów kopalń Nordu czy Pas de Calais, z farmy angielskiej czy hal fabrycznych „Citroëna” — związani są swą przeszłością, swymi dążeniami, krwią wreszcie — z tą Polską „wodzów” i „legalistów” czy z tymi, dla których tylko ponurym wspomnieniem pozostały lata kiedy tłumy wystawały przed bramami urzędów „Funduszu Pracy”?

I gdzie jest miejsce tych rzesz z Anglii i Francji, z Belgii i zachodnich Niemiec? Czy mają oddawać nadal ciężko zapracowany grosz na „Skarb Narodowy”, służący zabawom w „legalizm” i „państwo na uchodźstwie”, Andersom, Białasom i Bieleckim — czy oddać swe kwalifikacje, talent i trud **SKARBOWI NARODOWEMU** tworzonemu i pomnażanemu codziennie w **KRAJU** przez miliony ich braci, własną pracą, dla własnego dobra?

I także dla dobra tych, którzy powrócą.
